

LUBLIN

31.III.1964

Nr 6 (292)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

KAMIEŃ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

FINLANDIA czyli PRZYRODA I ŁAD LUDZKI

STEFAN OTWINOWSKI

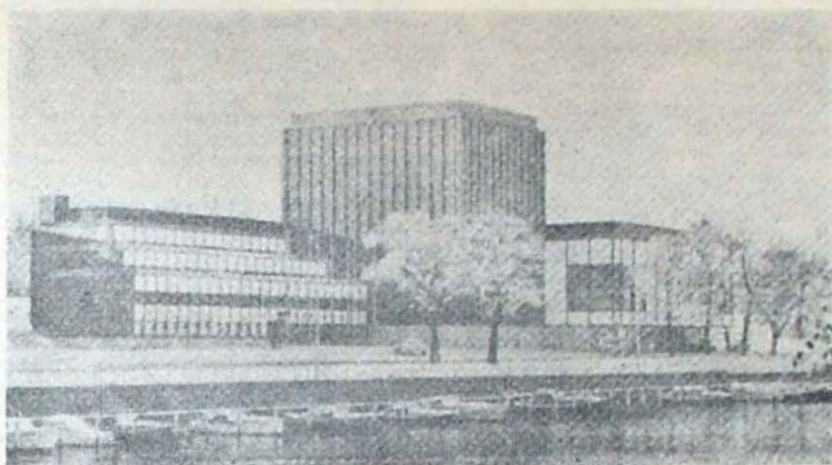
FINLANDIA. Setki kilometrów od tego kraju mówi się o nim jako o ziemi twardej, przestrzeni zalesionej. Wyobraźnia przywołuje ludzi mocnych, pracowitych — wytrwałych w walce z przyrodą. Jeśli zna się ten naród z poważnej literatury, wie się coś więcej o psychologii rolnika, drwala; łączy się informacje z ogólną wiedzą o człowieku skandynawskim — i te wstępne, organizowane z paleka wiadomości nie są złe. Kiedy okazja pozwoli, że staniemy realną stopą na tej rzeczywiście często twardej, granitowej ziemi, stanowiąc one będą pierwszy rozdział dalszych, systematycznie zdobywanych doświadczeń.

Helsinki to właśnie miasto na granicy, z zapleczem lasów, z perspektywą surowego morza. Wyraźna, mocna obecność natury nie odebrała stolicy wdzięku. Miasto jest piękne: w swej partii starszej, klasycystycznej, w części portowej, wśród młodszych ulic, wśród dzielnic nowoczesnych. Mówi się na świecie z największym uznaniem o fińskiej szkole architektonicznej. Cytuje się przede wszystkim nazwisko Alvara Aalto, jako jednego z twórców współczesnego funkcjonalizmu i humanizmu w budownictwie. Artysta ten pracuje nie tylko u siebie w kraju, znany jest szeroko za granicą. Alvar Aalto, Eryk Bryggman, Viljo Rewell — to nazwiska wybitne, powszechnie cenione. Fińscy architekci stworzyli niejako styl, porządek rozwiązywania budownictwa we własnym kraju. Nowoczesnej architekturze towarzyszy piękna, chciałoby się rzec: sensowna rzeźba. Jak wspaniale działa ten rzeźbiarsko-plastyczny akcent artysty Väinö Aaltonena na tle nowych murów uniwersytetu w Turku! Drugim dziełem Aaltonena, które trzeba wymienić, jest pomnik Paavo Nurmiego przed stadionem w Helsinkach.

Paavo Nurmi, Sport w Finlandii odgrywa zupełnie specjalną rolę. Nigdzie poza Skandynawią kultura fizyczna nie była zjawiskiem aż tak kulturalnym. Kulturalnym to znaczy określającym świadomy sposób zachowania się człowieka we wszystkich okolicznościach społecznych. Sport jest tu częścią moralności, częścią charakteru narodowego. I oczywiście najpowszechniej uprawiają rozrywkę. Ma Finlandia 300 tysięcy narciarzy stowarzyszonych w klubach. Prezydent Kekkonen, jak widzieliśmy, nie opuści żadnej sposobności, wypróbuje każdy nowy teren zjazdowy, a narciarz ten, nie zapominajmy, ma już sześćdziesiąt trzy lata. Amalia, bohaterka powieści Sylvi Kekkonen wraca z miasteczka do domu na rowerze. Zaskoczyła ją w skle-

(Dokończenie na str. 3)

Wesołych Świąt, Drodzy Czytelnicy!



Uniwersytet w Turku.

PUŁAWY PACHNĄ AZOTEM

JERZY DOSTAŃSKI

NAUKOWCY powiadają: azot to gaz bezbarwny, bez zapachu, bez smaku, niepalny. Ale to chyba nieprawda — przynajmniej dla mieszkańców powiatu puławskiego. Od dwóch i pół lat azot ma dla nich całkiem określone kolory — soczystej zieleni drzew, ustępujących przed szarymi blokami betonowych prefabrykatorów i czerwonych cegieł. Chociaż chemicy przysięgają na brodę Mahometa, że nic takiego nie nastąpi — wszyscy czują już w powietrzu zapach, jaki będzie ulatywał ze skomplikowanych, olbrzymich agregatów. Perspektywa uruchomienia już pod koniec przyszłego roku wielkich zakładów chemicznych, zwanych tu popularnie Azotami, rozpała umysły, charaktery i nadzieje tysięcy ludzi.

Dawniej każdy, kto jechał szosą lubelską do Puław, po przejeździe kolejowym zwracał głowę w lewo. Tam bowiem rozłożył się od lat Instytut Sadownictwa. Tu można zjeść jabłka o smaku pomarańczy czy inne specjalny, zerwane z wyhodowanych przez naukowców, a potem rozsyłanych po całym kraju nowych gatunków drzew. Dziś każdy jadący do Puław skręca głowę w prawo. Co nie oznacza lekceważenia sadownictwa, ale jest wyrazem wzrastającego zaciekania, jak wysoko ponad korony drzew wyrósł już jeden z najwyższych w kraju kominów. I czy w ogóle widać stalowy słup, który żelazobetonowym fundamentem zarył się wiele metrów pod dno Wisły, a na wierzchołku dźwiga trzy linki nowej linii energetycznej z Radomia, linki, z których każda jest grubszą od bicepsów niejednego atlety.

Na samym skraju Puław pierwsza rozterka. Gdzie jechać: na lewo, gdzie w pięknym pałacu Czartoryskich czai się kawałek historii naszej kultury i

nauki, czy też na prawo, gdzie w nie wykończonym jeszcze osiedlu Kaniowczyków osiadła dyrekcja Azotów. Zaním się zdecydowałem, samochód przeskoczył już przez małe śródmieście, most i znalazł się po drugiej stronie Wisły. Zawracamy samochodem tuż przed zadartym pyskiem przestraszonego konia. Siedzący na wozie chłop filozoficznie milczy i dopiero na któreś tam z rzędu pytanie odpowiada podnieconym głosem:

— Panie, wolałbym iść do piekła, niż przeżyć to jeszcze raz.

„To” okazuje się walkami, jakie przed 19 laty toczyli właśnie tutaj żołnierze radzieccy i polscy na puławskim przyczółku. Powie mi o tym nieco później sekretarz Prezydium PRN Andrzeja Wodzinowski:

— To było naprawdę piekło. Niestety bez tego piekła nie chodzilibyśmy dziś po naszej, polskiej ziemi. Zniszczenia wojenne na tym małym kawałku naszego powiatu obliczono na ok. 250 mln zł. Na terenie GRN w Janowcu 5 wsi zniknęło całkowicie z powierzchni ziemi, po 650 gospodarstwach został tylko popiół. W dzisiejszych granicach administracyjnych GRN w Górze Puławskiej po spaleniu 115 gospodarstw do rozbicia pociskami zostało tylko 122, co zresztą wykonano całkowicie. Ani jedna wieś nie ocalała. W ostatnich miesiącach wojny dosłownie nie było dnia, aby gdzieś w powiecie hitlerowcy nie rozstrzelali przynajmniej 10 ludzi.

— Dzisiaj tego wszystkiego, poza samym zamkiem w Janowcu, prawie nie widać.

— No tak, ale to nie było łatwe. W pierwszych latach po wojnie ludzie nie wierzyli jeszcze w samych siebie.

(Dokończenie na str. 2)

KILKA KARTEK Z PAMIĘTNIKA

ZOFIA MODRZEWSKA

Pamięci Leona Schillera, na Międzynarodowy Dzień Teatru.

(Redakcja)

OKRES pierwszej wojny światowej, od połowy 1915 do końca 1917, przetrwaliśmy w Wiedniu. Po zupełnym uwolnieniu z wojska nie przyjęty do czynnej służby w legionach, Lulek* po naradzie ze swoim profesorem śpiewu, przyjacielem i świadkiem naszego ślubu, Witoldem Noskowskim, postanowił ten czas poświęcić dawno wyteścionej pracy i przygotować się do służenia swoimi zdolnościami przyszłej wolnej Ojczyźnie. Witold Noskowski, redaktor „Czasu”, który sam bardzo poważnie studia muzyczne ukończył właśnie przed wojną w Wiedniu i był sprawozdawcą i krytykiem muzycznym, przekonał bez trudu ojca o konieczności naszego wyjazdu do Wiednia.

Nikt z nas nie wątpił, że owa Chwila Osobliwa, o którą modlił się Mickiewicz w Księgach Piętrzymystwa Polskiego „O WOJNĘ, WOJNĘ LUDÓW PROSIMY CIĘ PANIE”, właśnie nadeszła i że Polska powróci na mapę Europy wolna i niepodległa.

Pierwsza wojna światowa wyglądała zupełnie inaczej niż ta w 1939. Walczące mocarstwa chcąc mieć spokój na tyłach traktowały Polaków łaskawie. Nie było żadnych prześladowań w stolicy Austrii. Tętniło życie intelektualne, naukowe i artystyczne w całej rozciągłości. Teatry, koncerty i wszystkie uczelniane czynne. Gdyby nie długie ogonki przed piekarniami i mleczarniami, na pozór nic się nie zmieniło.

Lulek studiował u najprędniejszego profesora, pobierając lekcje prywatne (nazwiska profesora niestety nie pamiętam), ja zapisałam się do szkoły ruchu plastycznego prof. Fabre'a, gdzie uczone nie tylko rytmiki ciała, ale również kompozycji nowoczesnego tańca. Mieszkałam na ulicy Hegergasse, w III dzielnicy, w wielkim domu, w dwupokojowym mieszkaniu z wszelkimi wygodami, wejściem z dużego przedpokoju do każdego pokoju oddzielnym, tak że mogliśmy drugi pokój odstąpić Zygmuntovi Dygatoowi, naszemu przyjacielowi, młodemu pianinie, który tu właśnie kończył studia w szkole muzycznej, a obecnie jest profesorem w szkole muzycznej w Paryżu.

Urządziliśmy sobie nasz pokój kupionymi naprędce meblami: stół, cztery taborety z białego surowego drzewa i fortepian czarny, przywieziony z domu. Na taborety uszylam przykrycia z czarnej satyny w czerwone duże róże, z falbanami, takżeś samo przykrycie na szeroki tapczan — co przy czarnym fortepianie i żółtych bez deseni ścianach stanowiło oryginalne studenckie wnętrze.

* Leon Schiller (Red.)

(Dokończenie na str. 7)

PUŁAWY PACHNĄ AZOTEM

(Dokończenie ze str. 1)

Zresztą potrzeby na ówczesnych ziemiach odzyskanych też były bardzo wielkie. Wyjechało wtedy na zachód 22.138 osób z naszego powiatu. To było konieczne dla całego powiatu, dla zagospodarowania starych, piastowskich ziem. Ale tu trzeba było czekać na zebranie odpowiednich sił. Odbudowa szła najpierw powoli, potem coraz szybciej. Tylko w latach 1959-62 wybudowano w powiecie 4.267 domów mieszkalnych i budynków gospodarczych. Przeciętnie licząc — co piąte gospodarstwo jest nowe.

— Przed wojną mieliście — powiadam — tylko pięć zakładów produkcyjnych, teraz trzydzieści. Wśród nich Blowet i Fabrykę Żelatyny, których wyroby zaopatrują nie tylko cały kraj, ale i płyną do wielu krajów świata. Zatrudnienie w zawodach pozarolniczych przed wojną wynosiło cztery tysiące ludzi, dziś czterdzieści tysięcy. To są rzeczy widoczne dla każdego. Ale ludzie — pytam — czy i jak zmienili się ludzie, czy oceniają te zmiany?

Przewodniczący Prezydium PRN mgr Stefan Filip sprawuje swój urząd dopiero od kilku miesięcy, ale zna powiat na wylot od wielu lat. Wcale nie tak dawno napisał pracę magisterską na Wydziale Prawa UMCS — „Monografia powiatu puławskiego 1864-1914 r.". Siadając pod rozłożystą palmą, która z dziwną obojętnością znosi chłód panujący w biurach Prezydium, przewodniczący mówi:

— Ludzie jak to ludzie: na zebraniach i chwają, i gania, trochę żądają i wiele proponują. Chyba jak wszędzie. Ale gdy przyjdzie co do czego, pracują zawzięcie. Pokażę wam później kilka zestawień. Ale do mnie najbardziej przemawia udział ludności w czynach społecznych. To przecież nie jest przymus, to nie wyręczanie państwa, ale chyba najbardziej czuły termometr, wykazujący temperaturę zaangażowania się ludzi w nową rzeczywistość, we wspólne tworzenie jutra. W zeszłym roku wartość czynów społecznych wyniosła piętnaście milionów złotych. Zobowiązania na ten rok wynoszą już siedemnaście milionów złotych.

— Tak prawdę powiedziawszy, panie przewodniczący, różnie bywa z obliczaniem wartości tych czynów.

— Istotnie. A my nie chcemy fikcji, nie chcemy osiągnąć tylko w statystykach. Wprowadziliśmy więc na ten rok rzecz zupełnie nową. Coś w rodzaju konkursu połączonego z loterią. W każdej wsi został wybrany tak zwany organizator pracy społecznej. Mieszkańcy sami uchwalają, co chcą zrobić, co uważają za najpilniejsze. Organizator przydziela pracę i rejestruje wyniki, gdy trzeba — przypomina. Ponadto otrzymał od nas specjalne kupony, każdy wartości pięćdziesięciu złotych. Godzinę pracy cenimy dość wysoko: dziesięć złotych. Bierzymy pod uwagę tylko rzetelną, prawdziwą robotę. Kto się ociąga, nie dostanie nic. Kto pracuje dobrze pięć godzin, otrzymuje jeden kupon. Wszyscy członkowie PZPR i ZSL zobowiązali się zdobyć przynajmniej po dziesięć kuponów w ciągu roku. Ja osobiście mam już dwa — dodaje półgłosem. — Na początku przyszłego roku wśród zdobywców największej ilości kuponów rozlosujemy wiele nagród rzeczowych. Ponadto z funduszy PRN przeznaczamy po pięćdziesiąt tysięcy złotych dla dziesięciu wsi, które zdobędą największą ilość kuponów w stosunku do posiadanej ludności. Te nagrody pójść oczywiście na dalsze popieranie czynów społecznych, spodziewamy się więc, że da nam to przynajmniej milion złotych dodatkowych robót.

Przewodniczący odsapnął tak silnie, że aż otworzyły się drzwi gabinetu. Okazało się zresztą, że to nie od jego sapania, lecz że przybywali — z dokładnością co do minuty — kierownicy wydziałów rad narodowych powiatowej i miejskiej, działacze polityczni i gospodarczy. Powiat bowiem w dniu moich odwiedzin obchodził wielkie święto. Nadeszło właśnie z Warszawy oficjalne potwierdzenie wiadomości, powtarzanych sobie dotychczas tylko na ucho. W wielkiej wystawie XX-lecia PRL, która odbędzie się w stolicy, właśnie powiat puławski będzie reprezentował nie tylko całe województwo, ale i pokazał część wschodnich rejonów kraju. Zaszczyt to nie lada —

powiadają zebrani — ale to święto trzeba będzie obchodzić bardzo pracowicie, przygotowując eksponaty. Mają one pokazać dwudziestoletni dorobek skrawka ziemi, który dziś przoduje w województwie pod wieloma względami. A ponieważ przoduje nie tylko dzięki złotówkom, które poszły na nowe hale fabryczne i maszyny, na nawozy sztuczne i ciągniki, ale przede wszystkim dzięki ludziom — więc ludzi trzeba będzie także pokazać.

Podczas gdy zebrani ustalają, co, kto i jak ma zrobić, ja czytam materiały z ostatniej sesji PRN. Była to sesja dość niezwykła, pierwsza tego rodzaju w powiecie, a jedna z nielicznych w województwie: poświęcono ją całkowicie sprawom kultury. Dyskusja wprawdzie nie była na tej sesji specjalnie zażarta, chociaż potem kilka osób obraziło się na kilka innych — ale przecież załatwiono rzecz, która od wielu lat wszystkim działaczom kulturalnym dawała się mocno we znaki. Chodziło o wykorzystanie sal, świetlic czy remiz, będących własnością różnych organizacji, kółek rolniczych czy straży pożarnych. Sale te uprzystępniano, niezadko po zapłaceniu słonej zapłaty, na cele kulturalne tylko wtedy, gdy we własnym zakresie nie urządzano zabawy, lub gdy takiej zabawy — oczywiście z wyszynkiem — nie urządził znajomy prezesa, dyrektora czy komendanta. Sprawa na sesji PRN stanęła ostro i rozwiązano ją radykalnie: wszystkie sale, nie zmieniając właściciela, przeszły pod zarząd gminnych rad narodowych. Teraz już od działaczy kulturalnych zależy, aby władze gminne nie przejęły ciągów dawnych właścicieli sal i uprzystępniały je przede wszystkim kulturze i oświacie.

Gdy idę główną ulicą miasta, co kilka kroków muszę uskakiwać w bok, uciekając przed fontannami błota, tryskającymi spod przejeżdżających samochodów. Tych samochodów jest teraz dosłownie każdego dnia więcej — to jedna z konsekwencji Azotów. Więc mimo wszystko tubylcy nie bardzo narzekają. Wiedzą zresztą, że tego od razu zmienić się nie da. Poczekają więc do czasu realizacji planu zagospodarowania przestrzennego, który w wyniku budowy tuż za miastem kombinatu chemicznego poważnie zmieni urbanistykę i architekturę Puław. Już zresztą zmienił ją tam, gdzie powstało osiedle Kaniowczyków, na wiosnę znacznie zmieniać w dwóch nowych dzielnicach: mieszkaniowej przy ul. Wróblewskiego i usługowo-administracyjnej na miejscu dzisiejszego boiska sportowego. Nie bez polechtania lokalnej ambicji trzeba dodać, że autorem tego planu jest inż. Janusz Gągala, jeden z najmłodszych w województwie architektów, rodowity Lubliniak. Również lubelscy architekci — inż. Zofia Hamań i inż. Kazimierz Majewski — są autorami planu zagospodarowania całego powiatu. Praca bardzo trudna i odpowiedzialna. Na ogół opracowania tego typu rodziły się dla wielkich inwestycji w warszawskich czy krakowskich biurach projektowych. Nasi młodzi inżynierowie za dobre opracowanie tych planów otrzymali nagrody wojewódzkie, a przede wszystkim patrzą z dumą, jak plany te nabierają realnych kształtów.

Jerzy Dostatni

WCZORAJ I DZISIAJ

Oto kilkanaście tylko porównań dwóch okresów: przedwojennego i dzisiejszego. Różnice stanowią zysk nie tylko samego powiatu puławskiego — są bowiem pokaznym wkładem w osiągnięcia całego kraju, który w swoje dwudziestolecie dokonuje bilansu sukcesów.

	1939	1963
Zakłady przemysłowe	5	30
Izby mieszkalne	23.000	45.000
Szkoły podstawowe	31	86
Domy kultury	—	3
Kina stałe	2	9
Ośrodki zdrowia	—	11
Łóżka w szpitalach	60	301
Gabinety dentystyczne	—	24
Osób z wyższym wyksz.	150	865
Ciągniki	—	130
Trzoda na 100 ha	60	90
Wsie zelektryfikowane	8	132
Abonenci radiowi	620	15.459

Wydajność z 1 ha w kwintalach:

	12	19
4 zboża	12	19
Ziemniaki	130	180
Buraki cukrowe	230	300

(jd)

DROBIAZGI Z PUŁAW

58 szkół realizuje program „szkoła ośrodkiem pracy kulturalno-oświatowej”. W 24 szkołach działają zespoły artystyczne.

Uchwała ostatniej sesji PRN postanowiła: do r. 1970 we wszystkich siedmiu GRN gromadzkie ośrodki kultury, do r. 1980 we wszystkich wsiach — wiejskie.

W powiecie puławskim pracuje 27 zespołów teatralnych, 10 muzycznych, 15 tanecznych i 9 śpiewaczych. Zespół teatralny przy PDK pracuje już 15 lat, a zespół pieśni i tańca z Końskowoj 11 lat.

W szkołach odbywają się zajęcia 21 uniwersytetów powszechnych, 59 stałych punktów odczytowych, 24 kursów rolniczych, 52 klubów dyskusyjno-lewizyjnych.

Biblioteki istnieją w 3 miastach (Puławy, Kazimierz i Naleczów) i 24 gromadach, ponadto działa 100 punktów. Ale wśród bibliotek gromadzkich tylko 7 posiada wykształcenie średnie, a 12 podstawowe pełne.

Jedno z pierwszych poleceń, jakie tuż po objęciu pracy w sierpniu ub. r. otrzymał nowy kierownik Wydziału Kultury Prezydium PRN, nakazywało mu współdziałać w skupie zboża. Po zmianach personalnych w Prezydium to się chyba już nie powtórzy.

Pod względem powierzchni powiat puławski zajmuje w województwie 14 miejsce, pod względem liczby ludności 10.

Globalna wartość produkcji przemysłowej w r. 1963 wyniosła 565 mln zł.

(d)

Kłopoty i radości sekretarza

— Co uważam za największe osiągnięcie naszego powiatu w XX-leciu? Pytanie bardzo uproszczone. Ale jeżeli już trzeba odpowiedzieć jednym zdaniem, to chyba to, iż wybudowaliśmy w tym czasie 47 szkół. A w nich 272 izby lekcyjne, 76 pracowni, 8 sal gimnastycznych, 257 pokoi mieszkalnych dla nauczycieli. Wszystko inne — wciąż wrastająca dojrzałość polityczna i społeczna społeczeństwa, niemal dwukrotny wzrost plonów w rolnictwie, nowe fabryki, a teraz Azoty — wszystko jest chyba pochodną znacznie wyższego niż przed wojną poziomu oświaty. Mimo że wielu młodych po ukończeniu nauki wyjechało od nas w świat, mamy o połowę więcej niż przed wojną ludzi z pełnym wykształceniem średnim i podstawowym.

— Wspomnieliście o Azotach...

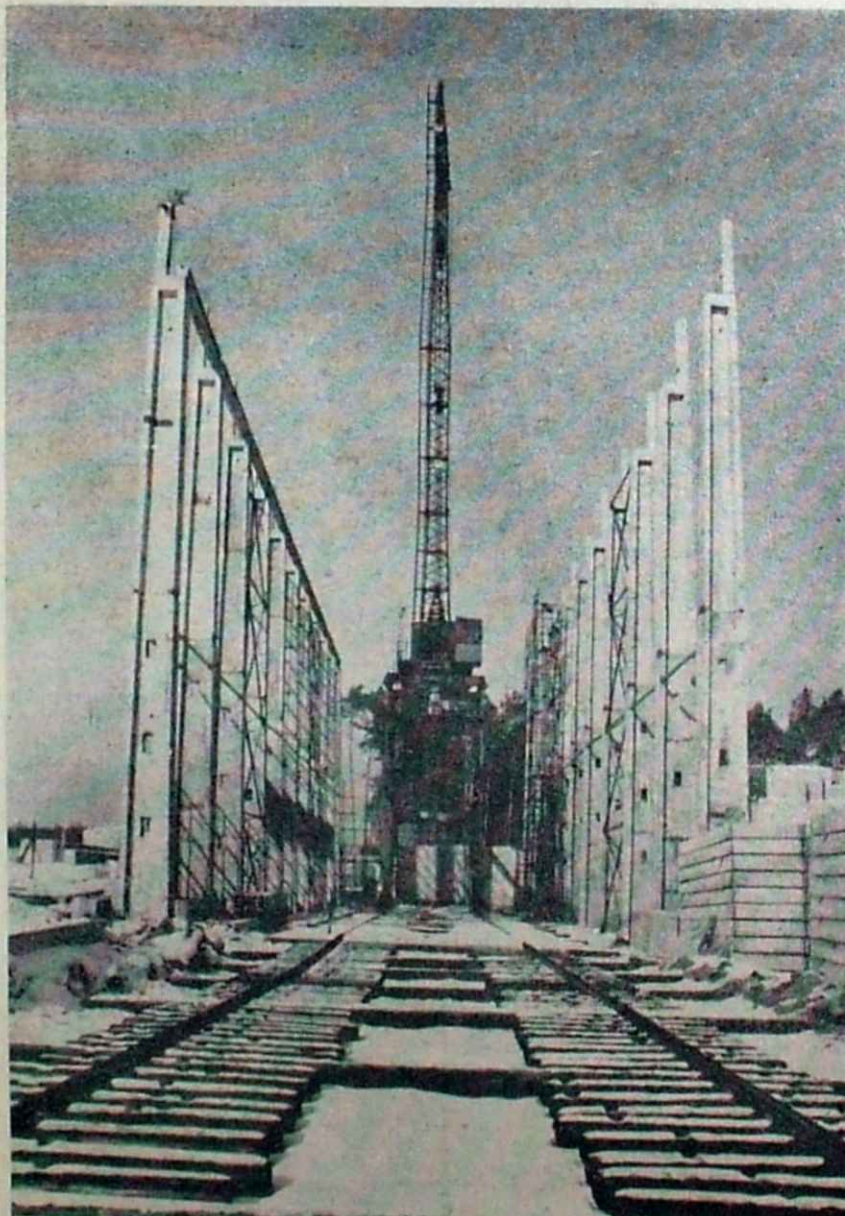
Zygmunt Zarychta sekretarzuje w Puławach już piąty rok, w tej chwili marzu mu się pewnie rodzinny Śląsk ze swoim ogromnym przemysłem...

— Przed kilku tygodniami rząd podjął decyzję znacznego przyspieszenia budowy i rozszerzenia pierwotnego programu, przynajmniej na ten cel odpowiednie środki. Z samą fabryką nie mamy większych kłopotów. Ale równolegle z nią musi rozbudowywać się miasto: mieszkania, sklepy, ulice, instalacje, poczta, bank, hotel. To mają załatwić różne ministerstwa, zjednoczenia, instytucje, komisje. Ale chyba zbyt dużo tego wszystkiego i dlatego wciąż prawie nic nie można uzgodnić. Co dwa tygodnie inne propozycje, a tu czas leci, wiosna za oknem i trzeba się wziąć do roboty. Od trzech lat nie można załatwić takiej prostej sprawy, jak budowa piekarni. Każdego dnia będziemy musieli przywozić chleb z zewnątrz. Albo tak maleńka sprawa jak wytworzenie wód gazowych. Też ma trzy lata historii, a ani jednej butelki w dorobku. Ot, nasza narodowa wada: gadulstwo, zbyt szerokie uzgadnianie, brak decyzji.

— Powiat jest rolniczy i mimo Azotów chyba taki pozostanie.

— Oczywiście. Mamy taką naszą, powiatową uchwałę, że w dziedzinie rolnictwa zadania planu pięcioletniego wykonamy w 4 lata. Powinno wyjść. Brakuje nam jeszcze tylko trochę bytła i musimy podnieść plony o 1 kwintal na hektarze. Możemy się pochwalic, że dzięki odpowiedniej agrotechnice

(Dokończenie na str. 9)



Fot. S. Papciak

Montaż jednej z hal na terenie kombinatu chemicznego

FINLANDIA czyli PRZYRODA I ŁAD LUDZKI

(Dokończenie ze str. 1)

piku przykra wiadomość, wraca więc w złym nastroju ducha, ma po drodze wypadek. Spada z roweru, dętka na przednim kole rozcięta kawalkiem szkła. A oto myśli Amalii, gdy potem prowadzi po równej drodze swój uszkodzony rower. „Powinam była odszukać ten odlamek szkła i stracić go do bagniska, inaczej może sobie na nim skaleczyć nogę ktoś, kto będzie szedł bosą. Amalii robi się przykro, że nie przyszło jej to do głowy... Wie, że niejedną raz już postąpiła inaczej, niż była powinna. Jakaś podobna do skruchy melancholia stępnia jej bunt”. Nie jest to cytat z książki dydaktycznej. Jest to cytat z psychologicznej powieści, tyle tylko, że napisany przez autorkę z kraju, gdzie charakter i świadomość ceni się najwyżej nawet w społeczności kobiecej.

Głównym bogactwem kraju jest las. Przemysł drzewny, przemysł papierniczy. Także uprawa roślin, hodowla. Nauki szczególnie cenione: biologia, biochemia, leśnictwo, rolnictwo. Zawód cieszący się wyjątkowym szacunkiem — nauczycielstwo.

Pociąg z Helsinek do Turku biegnie niemal ciągle wśród lasów. W tej okolicy kraju nie są to lasy imponujące. Ale las dociera wszędzie. Jego życie tworzy atmosferę kraju. Pociąg zatrzymuje się rzadko, mało tu dużych miast. Niewielkie miasta mają wygląd schludny, rozsądnie dostosowany do praktycznych czynności ludzkich. Na przykład? Na przykład: w pokoju hotelowym w Turku najważniejszym meblem jest przestronne, wygodne biurko. Można na nim rozłożyć papiery, książki, pomoce naukowe, można kreślić, pisać. Odpowiednio przystosowane światła ułatwiają pracę wieczorną. Zatrzymują się w tym hotelu nie tylko turyści, ale przede wszystkim ludzie reprezentujący przemysł, inżynierowie, handlowcy, uczeni. Turku jest miastem fabrycznym, portowym, uniwersyteckim. Miastem, które się rozwija. Nie spotkałem nigdzie w Europie miast, miasteczek, lokali, wnętrz tak dogodnie przystosowanych do pracy i wypoczynku. Tak roztropnie godzących względy praktyczne z estetyką. Ale nie spotkałem i ludzi tak społecznie, tak dobrze wychowanych. Przykład? Wchodzimy do wagonu restauracyjnego — miejsce wolnych nie ma. Przy stoliku najbliższej drzwi czterech żołnierzy żywo rozmawia popijając piwo. Chcemy się wycofać — nie, jeden z żołnierzy już wstaje, prosi, stolik wolny. Szybko kończą piwo, życzą nam smacznego, wychodzą. My, dwaj Polacy, chwalimy wobec naszych towarzyszy, pisarzy fińskich, grzeszność młodych ludzi. Finowie dziwią się: jaka grzeszność? normalny odruch. Tak, powiadam, lecz oni się tu dobrze czuli, rozmawiali sobie. Finowie objawiają jeszcze większe zdziwienie. Dobrze się czuli? Jak mogli dobrze się czuć i spokojnie siedzieć, skoro obok nich stanęli starsi ludzie, być może głodni?... Na rozwój społeczeństw skandynawskich duży wpływ miała religia protestancka. 92 proc. ludności Finlandii wyznaje wiarę ewangelicko-luterańską. Wyznanie to, precyzując stopniowo swoją doktrynę etyczną nie dopuściło do absolutyzacji praw jednostki. Nie mitologizowało nigdy przeświadczeń o pełnym, szczęśliwym życiu indywidualności ludzkiej. Cnotą najbardziej szanowaną była uczciwość. Sumienność w pracy, w myśleniu — oto co szczególnie uderza nas, Polaków, w zetknięciu ze społeczeństwem fińskim.

Muzyka fińska jest u nas znana dzięki melodyjnym symfoniom Sibeliusa. Pisarzem zyskującym popularność był Frans Sillanpää, laureat Nobla w roku 1939. Tłumaczyliśmy poza tym Aleksisa Kivi i Mika Valtari. Jeśli chodzi o malarstwo, to okresem wyjątkowo nam bliskim jest koniec dzieł wspaniałego wieku. Dzieła Blomstedta, Edelfeleta, Gallen-Kalleli, Simberga byłyby rewelacją dla naszych widzów — starszego i średniego pokolenia, dla tych, wychowanych w kulcie Wyspiańskiego.

Olbrzymie wrażenie zrobił na mnie zwłaszcza Hugo Simberg. Sztuka jego w zasadzie jest kontynuacją nurtu, który tu nazywa się romantyzmem ludowym. Pokazuje urok i grozę natury, człowieka ciągle na tle przyrody. Las, morze i anegdota chłopskiego wieczoru. Nocy i śmierci. Ale Simberg smutek i surowość zjawisk potrafi także zmienić w symbole groteskowe. Piękne są jego cykle z historią diabła na ziemi, wśród okoliczności życia wiejskiego. Diabeł frasośliwy, zatroškany ziemskim bytem, cierpiący na ból zębów, zaniepokojony chorobą i głodem swoich dzieci, żebrzący o pomoc, blakający się po wsiach i drogach leśnych. Jeśli mówimy o pełniejszej wymianie kulturalnej między narodami, polskim i fińskim, trzeba by pomyśleć także o umożliwieniu zobaczenia dzieł Simberga entuzjastom sztuki plastycznej w Krakowie, Lublinie, Warszawie.

W Turku pewien wybitny pisarz mówił mi, że w młodości rozczytywał się w „Panu Tadeuszu”. Spotkałem uczonych, lekarzy, dziennikarzy — ludzi starszych i w średnim wieku — znających dobrze twórczość Sienkiewicza, Reymonta. Teatr w Helsinkach wystawiał Fredrę, Zapolską, Nalkowską, Iwaszkiewicza. Specjalizujący się w sztuce najnowszej teatr w Turku zamierza dać spektakl jednoaktówek Mrożka. Nie, nie będę cytował zbyt wiele, jednak powiem, że literatura polska jest tu znana, ceniona, że są plany dalszych tłumaczeń naszych wartościowych i interesujących książek. Jeśli chodzi o naszą recepcję piśmiennictwa fińskiego, sprawa wygląda gorzej. Przypominam raz jeszcze nazwiska popularne w całym świecie: Sillanpää, Kivi, Valtari. Daliśmy polskim czytelnikom tylko cząstkę ich twórczości. Wysłała świeżo powieść Sylvi Kekkonen. Słusznie. Warto by pomyśleć o zrealizowaniu tłumaczenia książki Vaino Linna, najwybitniejszego obecnie realisty fińskiego. Powieści jego znalazły wielkie uznanie krytyki brytyjskiej, amerykańskiej, szwedzkiej. Warto by pomyśleć także o innych młodych pisarzach, warto by pomyśleć o konsekwentnym programie współpracy.

Leży przede mną starannie wydana fińska monografia Hugo Simberga. Lubię tu jedną reprodukcję. Oryginał niedawno widziałem. Co ten obraz przedstawia? Owszem, jeśli można opisywać dzieła sztuki, opowiem. Kościół kamienny, surowy — w czasie zimy. Jest to północna zima. Niebo lodowate. Wokół kościoła cmentarz i tylko jedno drzewo. Dwóch idących: mężczyzna z małym chłopcem. Tyle. Bardzo zimno, i bardzo smutno, i bardzo pusto...

Przypomniałem w wstępie felietonu, że kraj to surowy w atmosferze, kraj jezior, lasów, śniegów. Tak. Ale starajmy się dowiedzieć więcej i ciągle więcej. Ze ta ziemia ma wielkich sprawiedliwych artystów, pisarzy mocno związanych ze swoim ludem. Ze ten lud też bardzo sprawiedliwy, sumienny, wytrwały. Ze to kraj wielkiego ładu społecznego. Wielkich zwycięstw nad rzeczywistością nielaskawą przyrodą.

Stefan Otwinowski

JANINA BRZOSTOWSKA

Poezja

Szukam poezji w księgach na kartach z nierównymi rzędami zdań choć wiem że nieczęsto jest pośród was piszący wiersze.

Czasem jednak spotykam ją: niesmiąta i przerażona widokiem człowieka rozwija skrzydła drzew kwitnieniem albo skrada się w zapuszczonym [ogrodzie] starych moich przyjaciół.

Mówią że oszalała z nadmiaru samotności.

— Którędy — pytam — do Paryża? — Paryż? Pewnie za Zduńską Wolą... —

Jan Huszcza

PRZYTACZAM nie nadaremnie wiersz Jana Huszczy, programowego prowincjusza, który znalazłszy się w stolicy zachodniego świata kultury, w Paryżu — szuka nad Sekwaną polskich brzoź i wiersz. W tych wędrówkach towarzyszy mu cień innego prowincjonalnego poety, który też w plusku Sekwany łowił szum Niemna, cień Adama Mickiewicza. Bo o tym właśnie prowincjonalizm chce mówić, o tym, który jest wielką siłą poetycką, źródłem inspiracji na całe życie, zbliżeniem do ziemi, do konkretnej ziemi.

Mówię o prowincjonalizmie w Polsce, dzisiaj — to trzeba odważyć. Ten temat jest źródłem nieporozumień i rozdrażnień na każdym niemal zjeździe Związku Literatów. Już zawczasu cierpię mi skóra, jak źle zechcą mnie zrozumieć ci, którzy w samym słowie prowincja węższą obelgę i powód obrazy. Ostatecznie większość sporów i dyskusji wynika nie z różnicy poglądów, ale z nieporozumień i braku chęci zrozumienia.

Pisałam np. na tym miejscu o tym, że nie istnieje poezja kobieca, że przymiotnik ten nie może być żadnym wyróżnikiem krytycznym, co wydaje się oczywiste. Odpowiedział mi na to „zb” w „Twórczości”, że poezja kobieca istnieje, ponieważ on bardzo wiele jej zawdzięcza. Powstały przy tym nowe rodzaje poezji: „poezja kobieca niekobieca” i „poezja kobieca kobieca”. Do tego sporu nie zamierzam wracać, sądzę, że można na ten temat dyskutować tylko przy dobrym winie. Sama sprawa wynika z mojego zniecierpliwienia, z jakim czytam zawsze o „kobiecej literaturze”. Tu zaś chodzi o sprawę bardziej jeszcze drażliwą — o prowincjonalizm!

Stawię i chwalebny prowincjonalizm w poezji! Stawię i chwalebny poetów, którzy posiadają swój kraj lat dziecinnych, nie wstydzą się go, ale z wdzięcznością wprowadzają do poezji. Jesteśmy przeczarowani snobizmem. Przy wszystkich kulturowych pożytkach płynących ze snobizmu i wszelkich ciągów do wszelkich Paryżów — snobizm jest brzydką cho-

robą polskiej literatury. Powiązanie pisarza z określonym regionem kraju, z okolicą, znajomością jej realiów, umiłowanie jej dróg i drózek — wszędzie jest w poszanowaniu, jest siłą pisarza, darem losu. Nie bezbarwna stołeczność, ale właśnie konkretny prowincjonalizm jest siłą potencjalną każdego piśmiennictwa, jego barwą i blaskiem. Tylko nie u nas. Większość naszych poetów chce być od razu na miarę Europy i świata, na miarę ogólnoludzką. Dlatego ich realia są ogólnikowe, żadne, niemal

Listy o poezji

PROWINCJA POETYCKA

ANNA KAMIEŃSKA

symboliczne, a nawet kosmiczne. W oczekiwaniu na uznanie Europy i sławę wędnie i wysycha źródło poezji. Nasza literatura jest pełna nieudanych geniuszy o chorobliwych ambicjach. I chociaż wielkie ambicje są potrzebne artyście jako doping twórczy — tym razem stawię i chwalebny prowincjonalizm, w istocie o wiele trudniejszy, bo często rezygnujący z doraźnego uznania i powodzenia, często skazany na samotnictwo.

W Polsce są ciągle jeszcze te dwie przeciwnie, silne sfery przyciągania: stolica, a z niej — świat, i prowincja, czyli rzeczywiste życie, życie narodu. To przeciwstawienie ciągle istnieje i kształtuje świadomość. Dlaczego? Bo ciągle istnieje jeszcze rozbieżność poziomów życia i niewspółmierność kultury materialnej.

Mimo nowych uniwersytetów, szkół, placówek kultury — są jeszcze wieś bez dróg bitych, są nieskanalizowane miasteczka i dzielnice miasta, są trudności komunikacyjne, zamiecie i powodzie, odcinające całe połacie kraju. Jest jeszcze prowincja. Jest to istotna różnica w barwie kultury, jeśli dziecko brnie do szkoły kilka kilometrów

PIĘĆ KWATÓW

ZYGMUNT MIKULSKI

PIĘĆ książek *) z kwiatami Marii Urban na obwołanych. Prezentują się tą „zgrzebaną” schludnością, jak w reklamowym zabiegu zapowiadającym łatwość i niewielkie ryzyko transakcji. Pięć (III—VII) tomów Lubelskiej Biblioteki Ludowej.

Trzeba przyznać, że wiejscy poeci mają sporo szczęścia w Wydawnictwie Lubelskim. Więcej, niż niejedną młodą poetkę miejską. Blżej jest na ulicę 3 Maja z Mołodutyna, czy Hrubieszowa, niż z Krakowskiego Przedmieścia. Ale to i nieźle i ma swoje uzasadnienie. Zeszyty Biblioteki ukazywały się w znacznym stopniu na prawach folklorystycznego zabytku, a tegoż nie będzie się szukać w Jeleniej Górze. Folklor, twórczość ludowa — oto jedyny dodatni ingredient Polski B, na której obraz składało się i nasze województwo.

Ale na serio. Czy rzeczywistość jest uzasadnieniem dla wyprowadzania poetyckiej twórczości chłopskiej ze sztuki ludowej tej regionalnej, autonomicznej „włociańskiej”? Czy chłopski wiersz jest postacią tego artystycznego „samodzielnia”, z jakim mamy do czynienia w wypadku pasterka, „pajaka”, glinianego garnka? Zwolennikom odpowiedi negatywnej jakże na rękę jest twórczość Stanisława Bojarczuka. Ale nie trzeba sięgać do przykładów ekstremalnych. Wydaje się, że chłopskiego piśmiennictwa w ogóle z folklorem mieszać nie należy. Po pierwsze — piszą-

*) Stanisław Buczyński: „Maki”, Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 82, cena 10 zł. Władysław Kuchta: „Blawatki”, Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 31, cena 5 zł. Bronisław Pietrak: „Kakole”, Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 31, cena 5 zł. Jan Pociąg: „Malwy”, Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 62, cena 7 zł. Józef Kapuscinski: „Niezapominajki”, Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 31, cena 5 zł.

(Dokończenie na str. 10)

w zaspach i jeśli idzie z ulicy na ulicę prowadzone za rękę.

Znam jeszcze jednego zagorzonego „prowincjusza” literackiego. To poeta, nauczyciel i działacz — Stefan Gólbowski. On, który walczył o budowę dróg, melioracje i regulacje rzek, on, pokrecony przez reumatyzm, on, który w zimowy dzień idzie do szkoły przez wielki rynek w Bieżuniu, po którym hula wiatr — zna smak tego, co nazywamy prowincją. Ileż razy przystaje, odpoczywa, łapie dech i rusza dalej. A przy tym buduje nową szkołę, jeździ jako poseł na spotkania w terenie, uczy Horacego i Wergiliusza, pisze wiersze i obcuje z poezją. I jego poezja jest właśnie w najszlachetniejszym sensie tego słowa „prowincjonalna”. Nie z powodu niedojrzałości, jest to przeciętne poezja pełnej kultury literackiej, ale z powodu zrośnięcia z życiem prowincji, z życiem Polski, poezja mądrego człowieka bez poczucia mało-wartościowości wobec symbolicznego Paryża. Jego Paryż mieści się obok Bieżunia, jak Paryż Huszczy za Zduńską Wolą.

Prowincjalność albo kresowość były barwami naszej najwybitniejszej poezji — i Mickiewicza, iłowackiego, i innych wielkich.

W pracy podnoszenia kultury materialnej w naszym kraju poezja ma do wykonania swoją wielką robotę. I tu potrzeba „krzątaniiny” poetyckiej. Nici poezji to są wbrew pozorom bardzo mocne nici i tworzą węzły nie do zerwania. Dlatego pielęgnujmy poezję „prowincjonalną” przeciwko bezbarwności, ogólnikowości, przeciwko wszędzie-i-nigdzie-bytności naszej poezji. Za mało wyróżniają się barwą i atmosferą poeci różnych naszych środowisk twórczych — zwłaszcza młodzi poeci Szczecina, Gdańska, Bydgoszczy, Lublina, Zielonej Góry.

Trzeba tworzyć w każdej dziedzinie mądry anty-snobizm, oparty na pełnym wykształceniu, kulturze i odczuciu, ale pozbawiony poczucia niższości wobec stolicy i wobec Europy.

Pod tym względem mądrzy są poeci pochodzenia wiejskiego, ci, którzy trzymają się często kurczowo tematu wiejskiego, ziemi, a nawet wiejskiej zagrody i źdźbła słomy na podwórku. W tym swoim ograniczeniu są rzetelni i mądrzy. Wiedzą oni, że trzeba mocno wyczuć ziemię pod nogami, aby móc pewniej rozejrzeć się dokoła.

OBAJ księża zeszedli z gościnną na ławkę. Na dość stromej ścieżce Sciegienny z szacunkiem przytrzymał proboszcza za łokieć, gdy przechodzili przez niegłęboką, suchą o tej porze row. Ksiądz Bartłomiej Sobolewski był już bowiem mężczyzną po sześćdziesiątce, do tego bardzo tęgim. Poruszał się wolno, kroki stawiał jak gdyby z wielką rozważą i dostojnością. Ale Sciegienny wiedział, że po prostu nie może inaczej chodzić. Przez pewien czas stąpali w milczeniu wzdłuż rzeczki. Sianokosy już były skończone. Niezliczona ilość wysoko spiętrzonych kopczyków siana wydzielała woń słodką, nie mającą równie sobie. Piotr wdychał z rozkoszą ów nieporównany zapach, delectował się nim i cieszył, a że było to aż nazbyt wydatne, proboszcz zerknął ku niemu parę razy z wyraźnym zainteresowaniem, chrząknął i odezwał się żartobliwie, wydymając za każdym słowem wargi, jak gdyby gasił płomień świecy:

— Widzę, moje dziecko, że lubujesz się w tych rozkoszach dla nosa. Nie tak ci pachnie kadzidło w czasie sumy. Wiesz, gdybym ciębie nie znalazł już z górą dziesięć lat, a ujrzał ciębie tak pierwszy raz, ani chybi popełniłbym błąd i przypisałbym ci nieprzystojne jak na nasz stan zainteresowania rzeczami nazbyt ziemskimi. Ale ciębie znam — powiedział z mocą po króciutkim zastanowieniu — i wiem, żeś dobry sługa boży, żeś skromny i że pokusy tego świata nie mają do ciębie przystępu.

Sciegienny leciutko opuszczył głowę. Bardzo rzadko wychodzili na wspólne spacerunki. Nie było wątpliwości, że Sobolewski miał jakiś ukryty cel, proponując mu dzisiaj spacer wzdłuż Urzędówki, toczącej swe leniwe wody przez wilkolaskie łąki. Lubili się, ale zawsze był między nimi dystans. Może dlatego, że ksiądz Piotr nigdy właściwie nie miał czasu dla siebie, zawsze zajęty w najbardziej nawet wolnych chwilach. Pisał, albo studiował, albo był wśród chłopów na wsi; albo znów u siebie przyjmował kogoś, wysłuchiwał skarg i płaczów, wreszcie odrabiał to i owo za proboszcza, czyniąc to zresztą samorzutnie i bardzo chętnie, bo Sobolewski na starość zrobił się ciężki i nieruchawy, i widać było, że każdy wysiłek fizyczny (a zajęcia kapłańskie wymagały jednak jakiejś fizycznej sprawności) był dla niego morderczy. Powoli, z blegiem lat, wszystko u niego zaczęło dopominać się spoczynku: i waga, i nerki, i ręce, i nogi; oddech miał krótki, sąpiący, przerywany, twarz niezdrowo czerwoną. Często więc przy najlepszej nawet woli nie mógł sprostać obowiązkowi. I był wtedy, niczym olbrzymia kładź, napelniona miast miodu czy wina, głazami. A lubił proboszcz i miód i wino. Od tego nie mógł odwyknąć, i to go właśnie gubiło. Wiedzieli obaj o tym i Sciegienny, gdy wpadł na moment do swojego zwierznika żeby zobaczyć, czy zdrowy, czy mu czego nie trzeba, a zastawał go przy miarce miodu, już nic nie mówił. Bo pewne było, że proboszcz chętnie nie zaglądałby do kielicha, gdyby mógł. Rzecz w tym, że nie mógł. Nie pił tego dużo, ale wystarczało, żeby już potem tylko leżeć mógł na werandzie, a jak było zimno, to w komnacie na sofie, i albo spać, albo o czymś głęboko rozmyślać z rękoma splecionymi na piersiach, czy też wyciągniętymi wzdłuż tułowia, poruszając bezgłośnie wargami — a czasem pochrapując i pojękując przez krótki, niezdrowy sen.

— Pilnuję, żebyś taką też opinię miał w kurii. Proboszcz znów zerknął na Sciegiennego, a jemu wydało się, że w oczach Sobolewskiego pojawił się starannie ukrywany uśmiech.

O co mu chodzi? Opinia... Jedno jest pewne: gdyby kuria dowiedziała się o jego zainteresowaniach dola chłopów, o działaniach wykraczających poza dopuszczalne i zrozumiałe dla nich normy, mógłby mieć przykrości, ba! coś gorszego niż przykrości. Już raz się naraził, i to jak, gdy zaproponował, żeby każdy kapłan, niezależnie od stanowiska w hierarchii, systematycznie i obowiązkowołożył na zorganizowanie i utrzymanie szkół ludowych dla wsi, tak żeby każde dziecko dobiło się jakiegoś poziomu wiedzy i miało drzwi otwarte na świat. Najpokaźniejsze sumy powinni byli ze swych dochodów dawać biskupi; proboszczowie — w zależności od zamożności. Boć nie każda parafia jednakowo dawała dochody. Och, jakże szybko rozwiała się nadzieja. Stał przed czujnym, twardym oporem. Zbyt go milczenie, które bardziej było wymowne, niżli krzyk oburzenia. I oto nie miał oparcia w nikim, dosłownie w nikim. Bo jeżeli któryś z kolegów w głębi ducha popierał jego zamysły, to nie odważył się głośno tego powiedzieć. Oficjalnie wiadomości nie dotarła do kurii, ale wiedzieli tam o dziwnych mrzonkach wilkolaskiego wikariusza. Ktoś go tam przecie bronił, i obronił, bo na fantazje Sciegiennego ostatecznie machnięto ręką.

— Co to ja chciałem powiedzieć — sapał Sobolewski, ostrożnie stawiając kroki i macając nierówną w tym miejscu ścieżkę wyszluzoną już dobrze grubą laską. — Aha, aha... Czy ty synu nie zetknąłeś się z taką jakąś ksiądzką, nie ksiądzką, czy jakimś tam pismem, że to niby od Ojca Świętego Grzegorza XVI list do ludu polskiego, co?

Sobolewski popatrzył uważnie na swego towarzysza, ale ten milczał, głowę jeno jeszcze niżej opuszczył. Wiec stary proboszcz, nie bardzo widąc oczekując odpowiedzi, ciągnął dalej.

— Krąży ta ksiądzka wśród chłopstwa naszej guberni, a ponoć i w kieleckiej, i mowa w niej o potrzebie wojny sprawiedliwej wszystkich chłopów bez różnicy narodowości i przynależności państwowej przeciwko panom, i że chlopi muszą już do niej szykować się. Nie słyszałeś o tym, synu? Przecież ciągle siedzisz między chłopami, gadasz z nimi, przychodzisz do ciębie, w ogóle...

Stary proboszcz przystanął, żeby się wydyszał. Nie ma w jego mowie gniewu — myślał szybko Sciegienny. Co to jest?... Co to znaczy?... Czego on chce?...

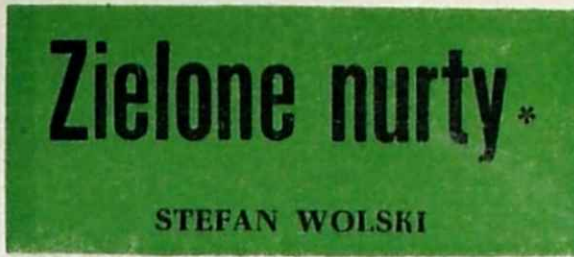
— A no, takie teraz czasy na świecie — ciągnął Sobolewski. — Potworzyły się różne organizacje, stowarzyszenia, towarzystwa; wszyscy wołają: wolność, postęp, nauka... I tak to jest i u nas, a zwa-

szcza w Warszawie, w Krakowie i w Poznaniu, a także i za granicą. W Paryżu i w Londynie siedzą nasi, co uszli z Powstania i kręcą nową zawieruchę. To samo w Moskwie, w Petersburgu. Wolność, postęp i demokracja... Ale o takiej skrajnej organizacji nie słyszałem. Nie, nie słyszałem. Wyróżnić panów: królów, arystokrację, szlachtę... i ziemia dla ludu... Nie, nie, tego nie słyszałem. A moda się teraz taka zrobiła, że przedstawiciele naszego stanu duchownego mocno się w te rzeczy wplątują. O, na przykład ksiądz Lamennais we Francji napisał też coś takiego właśnie, a ksiądz Aleksander Jełowicki tłumaczy to wszystko na nasz język; i idzie to króćdy do Polski, dociera tu, dociera synu — popatrzył na Piotra i ciągnął:

— Ja tam za stary, nie znam się już na polityce, wiem tylko tyle, że tak się właśnie zaczynały na świecie nowe ruchy i tworzyły się nowe idee; zawsze tak się to zaczynało. Ale ta ksiądzka... (ponoć nazywają ją „złotą”), to zupełnie coś nowego u nas... Nie, nie słyszałem.

Sciegienny myślał: nie wolno mi dać się wciągnąć w rozmowę. Milczenie powinno być wystarczająco bezpieczne. A swoją drogą skąd ten stary człowiek wszystko to wie. Zdawałoby się — nie nie czyta, z nikim nie rozmawia, gości nie przyjmuje i sam nigdzie nie jeździ. Chyba wtedy, gdy rokrocznie wyrusza do kurii. Ma tam kolegów, może przyjaciół... Dobrze, ale dlaczego mówię o tym ze mną? Nie chciał w domu... To jasne... A więc obawia się, że czyjeś niepowołane ucho... A zatem nie wolno go uważać za wroga. Ale trzeba pamiętać, że pije, za dużo pije. Tacy ludzie są słabi, do wszystkiego skłonni...

— Znamy się już tyle lat... — przerwał milczenie Sobolewski, ale znów umilkł.



Sciegienny siedł, mając głowę ciągle opuszczoną, ręce splótł z tyłu i zgarbił się nieco. Gdy Sobolewski wypowiedział ostatnie słowa, ostrożnie zerknął na starego księdza. Ale ten posuwał się zwolna, posapując i wydymając usta przy każdym wydechu. Nagle zatrzymał się. Przed nim był drewniany stary mostek, przetrzucony przez Urzędówkę, a tuż przed nim leżała świeża ścięta wierzba. Sobolewski popatrzył na pniak, świecący goliżną w miejscu ściecia i podreptał do niego. Potem wyjął z kieszeni sutanny dużą, niebieską chustkę, położył ją na wierzchu i stępnawszy ciężko, usiadł na nim. Teraz odetchnął głęboko, zdjął z głowy słomkowy kapelus i położył go na trawie obok łaski. Sciegienny ciągle milczał. Proboszcz też zamilkł i nie odrywał badawczego wzroku od twarzy swojego wikariusza.

— Nic nie mówisz, synu — powiedział miękko, z odrobiną goryczy w głosie. — Ha, może to i dobrze, że nie chcesz podjąć ze mną tego tematu. Ale nie po to ciębie tutaj ściągnąłem, żeby wbrew twojej chęci pogadać o tych dziwnych i ważnych sprawach. Pragnę ci zakomunikować, że musimy się rozstać.

Sciegienny przez chwilę stał oszołomiony. Głęboko osadzone jego bystre oczy wpatrzone w czerwoną, wielką twarz księdza Bartłomieja zdawały się drążyć jego myśli, dobierać się do najskrytszych zakamarków duszy.

— Jak to? — wyrzekł powoli. — Dlaczego?... Nieco obwisła dolna warga Sobolewskiego zadrgała, a potem krótki uśmiech, raczej cień uśmiechu, przemknął po jego ustach, ale oczy pozostały poważne i nie ustępowały przed twardym spojrzeniem Piotra. Powiedział, tak samo powoli mierząc słowa:

— Już czas najwyższy, ażebyś usamodzielniał się. Kiedy Sciegienny zdumiony i zaskoczony z niemym pytaniem wpatrywał się uparcie w zalawione stare oczy swego zwierznika, ten podjął:

— Widzisz, gdy będziesz tu u mnie siedział jako wikariusz, zajęty sprawami kościoła i parafii, zajęty swoją lubą szkółką, zajęty tymi wszystkimi chłopami, do których chodzisz, i którzy, jako muchy koło ciębie krążą, niewiele zdziałasz z tego, co ci w życiu przeznaczone. Idź tedy swoją drogą i czyń, co ci czynić należy.

Nabrzmiałe upałem powietrze drgało, słodka woń od kopie siana laskotała nozdrza. Była cisza niezmierzna wokół, jak gdyby świat cały wstrzymał oddech, czekając na ważne słowa zawisłe na zwiotczonych starczych wargach księdza Bartłomieja. Czekając na te słowa Sciegienny postąpił krok ku niemu. Wysoka, ciężka, z chłopka wyciosana jego postać, ogromna nad niewielkim, acz pulchym krzaczkiem tej siedzącej na pniu figurki, dziwnie zmalała w przygarbieniu pleców, w oczach starego księdza była niczym wcielenie wszelkiej mocy życia i czynu. Luby to musiał być widok dla proboszcza, owa pełna życia i dzielności postać Piotra, i ta jego twarz szeroka, otwarta i szczerą, z kośćmi policzkowymi szeroko rozstawionymi i wypukłymi, przykopconą od słońca na brąz, zdrowa twarz gospodarza, z ustami twardo teraz zwartymi, jak gdyby wstrzymującymi potok wymowy, tak dobrze znany parafianom, gdy ksiądz kazał z ambony płomienne a prosto i jasno, bardzo to musiał być luby widok dla starego proboszcza, bo nagle cała jego postać rozświetliła się w uśmiechu wcale już nie wstrzymywanym. Ksiądz Bartłomiej pisał obu rękami w rozstawione kolana.

• Fragment powieści

— I cóż, ty myślałeś mój synu... że może to być nowina? Nie, nie, nie lękaj się starego Sobolewskiego. Patrzyłeś na mnie wiele lat i wydaje ci się, że mnie zbadał i rozgrzył. A no, może i lepiej mnie znasz, niż ktokolwiek inny, ale nie wszystko wiem o starym, o, nie...

Spowaźniał i zaczął powoli dźwigać się z pnia wierzby. Stał teraz blisko siebie, niemal piersi przy piersi, i Sobolewski położył rękę na ramieniu Piotra.

— Wyjednałem dla ciębie, synu, administrację parafii chodelskiej.

Sciegienny obie dionie przycisnął do piersi gestem niemego zdumienia.

— Wcale to nie było łatwe — ciągnął proboszcz — bo w osobie Jego Ekscelencji księdza biskupa Ludwika Łętowskiego nie nazbyt wielkiego masz zwolennika. Bocz się na ciębie i nie dowierza, a to od tej pory jakżeś wyskoczył z tym projektem o opadkowaniu księży na budowę szkół dla dzieci chłopskich. Ale jakoś go zmogłem... Podaj mi, synu, laskę i kapelus.

Prośba ta w porę chyba była wypowiedziana, bo ksiądz Piotr oszołomiony i nad wyraz szczęśliwy, chyba porwałby w ramiona Sobolewskiego. Teraz schylił się po oba przedmioty, a ksiądz Bartłomiej poklepał go kilka razy po ramieniu.

— Tylko spokojnie, dziecko, tylko spokojnie. Rozumiem, co się dzieje w twoim sercu, i wielce mi rad z tego, że taki ci prezent daje twój stary proboszcz. Oby Bóg Miłosierny, pomógł tobie we wszystkim.

— Dobrodzieju, dobrodzieju mój — wymamrotał Sciegienny, i nagle ucałował proboszcza w ramię.

— Tam masz dość dużą bibliotekę, no i choć to nie tak znów daleko, ale nowe to strony i nowi ludzie. Będziesz mógł wszystko zacząć od początku, uważając, ażeby nie za wiele wiedziano o tobie w twoim bezpośrednim otoczeniu... Bo tutaj, to już sam wiesz chyba, że niejedne oczy patrzą na ciębie nie tylko z ciekawością i przyjaźnią i niejedne usta gotowe są zanieść wieści o tobie do władz... Rozumiesz ty mnie dobrze, mój synu? Zalecam ci ostrożność. Ja, stary sługa boży, stoję już nad grobem. Całe życie już za mną, a byłem go ciekaw zawsze i niewiele chyba uszło mojej uwagi z tego, co świat czynił przez te pół wieku z górą, odkąd zaczęłam patrzeć uważnie, i słuchać, i uczyć się. — Przerwał i strzepnąwszy chustkę, podjętą z pnia, wytarł nią spoczone oblicze.

— Przecież ja pamiętam Naczelnika Kościuszkę. — Zatrzymał się, bo od paru minut szli znów wzdłuż rzeczki. Głos jego wzniósł się, a potem spadł nieomal do szeptu. Ręka, którą uniósł z rozstawionymi palcami, drząc zaczęła i skakać tak samo jak obwisła dolna warga. — Pamiętam Insurekcję, i przysięgę na Rynku Krakowskim, i ów zapal narodu, i to wszystko, co Naczelnik przysięgi ludowi. Ludowi, rozumiesz? Ludowi! — powtórzył dwukrotnie z naciskiem. — Mój Boże, nic z tego nie wyszło, podobnie jak teraz, w trzydziestym roku. Tylko morze krwi poleło się. Ale to nie na próżno, nie na próżno. A udać się nie mogło. Za wielkie siły były naprzeciw, za mała nasza sprawa dla świata i za mało powiązana ze światem. Sama idea wolności i niepodległości, nas tylko obchodząca, nie znalazła oparcia w sile orężnej i w jedności narodu. Dlatego jeszcze wcześniej nas pokrajali, pocięli, poćwiartowali niczym dzika-odyńca. A przez całe lata przygotowywali nasz upadek. O, wiedzieli, jak zasiepić oczy narodu. Jak go rozbroić, zaczynając od wewnątrz. No i skończyła się Polska wielka, potężna, i groźna i takim właśnie stała się odyńcem, którego można upolować, poćwiartować i zjeść.

Nie spodziewał się ksiądz Piotr takiej mowy w ustach starego proboszcza, w ustach owego tłuszciocha, dla którego, zdawało się, nic poza szklanicą miodu lub wina nie było ważnego, i nad słodką drzemkę w fotelu na werandzie, w słoneczne, ciepłe popołudnie łagodnego lata, w cieniu, po sutym obiedzie. Zdumiał się wielce i oto w oczach jego cała osobowość tego starego człowieka uległa gruntownej odmianie. A ten posapawszy trochę ciągnął dalej, podjąwszy mozolne stąpienie ścieżynką, wzdłuż rzeczki.

— Właśnie, lakomy to był kasek. Bo ziemia polska dobra, jak nigdzie, lud pracowity i silny, kraj mlekiem i miodem płynący. Któżby nie chciał tego zjeść?... I teraz kiedy my słabi i podbici, nie na wiele się zdadzą powstania i męstwo narodu w oderwaniu od interesów świata. Trzeba nam szukać idei nowej i płomiennej, nie innej, niżli wielkiej dla innych narodów, postępowej, która zawsze zjawia się, gdy stary porządek rzeczy osiąga swój szczyt powodzenia. A oto i Rosja carów u szczytu potęgi, i Prusy, i Austria; ci, co nas poćwiartowali. Ale jeszcze i inne potęgi są na świecie. Trzeba słuchać i patrzeć, co się u nich dzieje, w którym miejscu ręka wyczuje rodnący się kształt nowego życia.

Sciegienny potrząsnął głową w najwyższym zdumieniu.

— Ależ, dobrodzieju — zaczął. — Nigdy nie przypuszczałem, że mój proboszcz...

— Nie przypuszczałeś, że twój proboszcz może o czymś innym myśleć, niżli o miarce miodu, co? Znów stanął i oczy wparł w Piotra. Twarde one były teraz i dzielne.

— A oto wiedz, że w owej miarce miodu twój proboszcz topi łyż i gorycz, których ma w sercu nadmiar. Bo twój proboszcz przeżywał te wszystkie wloty i kłęski narodu, jak matka przeżywa narodziny i śmierć dziecięcia, bo twój proboszcz nie już w życiu nie zdziła, grób jeno i kres przed nim; i nie już chyba oczy jego nie ujrzą, krom owej codzienności kapłańskiej. Dlatego twój proboszcz pił i modlił się, bo nic już mu nie pozostało.

To był nagły i potężny wybuch uczuć, zbyt widac wstrząsający dla sil starego patrioty. Zachwiał się bowiem i ucepił sutanny księdza Piotra. Teopatrzący nad wyraz, podtrzymał go i zaczął roglądać się, gdzie by proboszcz usadowić, żeby przyszedł do siebie. Ale nic nie było wokół. Tylko

(Dokończenie na str. 8)

Z TRADYCJI KULTURALNYCH ZAMOJSZCZYZNY

ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

FALUJĄCA wzgórzami, urodzajna i pełna uroku południowa Lubelszczyzna, jej miasta, a wśród nich renesansowy Zamość — były w ciągu wieków kolebką, etapem lub życiową przystanią dla wielu wybitnych pisarzy, muzyków i plastyków. Od końca XVI w. do współczesnych lat w historii tej części naszej ojczyzny wplotły się nazwiska znane nie tylko w kraju, ale często sławne także szeroko poza jego granicami.

Warto o tym przypomnieć w przeddzień dwudziestolecia PRL, w Roku Ziemi Lubelskiej, przy okazji nawiązywania do jej postępowych — społecznych, politycznych i kulturalnych tradycji.

Zamość w ciągu swej historii miał trzy okresy rozkwitu: Renesans, dwudziestolecie międzywojenne i czasy najnowsze. Dwa z nich — pierwszy i ostatni — sięgnęły najwyżej i pozostawiły lub pozostawiają po sobie trwały ślad — pisane i ustne świadectwo osiągnięć ludzi związanych z tą ziemią swoim życiem lub dziełem, a często jednym i drugim.

Renesans... Trzecia wyższa uczelnia w Polsce — Akademia Zamojska... Jej rzeczywisty założyciel: lekarz, filozof, prawnik, pedagog, filolog, bibliofil, a nade wszystko czuły na krzywdę społeczną i piękno poeta — Szymon Szymonowicz. Rzecznik równości ludzi i szlachectwa opartego nie na urodzeniu, lecz na cnocie, zdolnościach i zasługach dla kraju, realista i odważny publicysta, przez pewien czas kierownik szkoły średniej w Zamościu — Sebastian Fabian Klonowicz, który nie lękał się ostro krytykować ówczesnej magnaterii i tamtych stosunków. „Odprowa posłów greckich” Jana Kochanowskiego i kontakty Jana Zamojskiego z tym największym do Mickiewicza polskim poetą. Typograf Marcin Łęski, założyciel sławnej potem drukarni zamojskiej. Profesorowie Akademii Zamojskiej: Adam Burski — filozof wcześniej od Franciszka Bacona nawołujący do stosowania w naukach metody indukcyjnej i oparcia wiedzy na doświadczeniu, filolog Szymon Birkowski i Tomasz Drezner — znawca prawa rzymskiego. Cudzoziemcy — humaniści na dworze Jana Zamojskiego: Jerzy Douza i Dawid Hilchen. Kontakty hetmana i kanclerza z wieloma myślicielami europejskimi. Architekci: Bernardo Morando, Jan Babysta Falconi, Jerzy de Kawe, Jan Michał Linka, Columbani. Biblioteka Akademii obfitująca w cenne druki i rękopisy greckie, łacińskie, ormiańskie, hebrajskie. Już w 1618 r. widok Zamościa — nowoczesnego wtedy miasta — w niewiele lat po jego założeniu umieszczono w dziele G. Brauna „Teatrum praecipuum totius mundi urbium...” wydanym w Kolonii.

Potem Akademia przeżywa zmięczenie, zrywa się ciągłość wielkich tradycji kulturalnych Zamościa, z rzadka w dziejach południowej Lubelszczyzny pojawiają się choćby tylko bardziej znane nazwiska artystów i uczonych. W Hrubieszowie i prawdopodobnie w Zamościu przebywał przez pewien czas Stanisław Staszic, w końcu XVIII w. w zupełnie już podupadłej Akademii, tuż przed jej przekształceniem przez władze austriackie w Liceum pobierał nauki Kajetan Koźmian. Żył przysłużył się piękniemu renesansowemu grodomi general carski i architekt Mallet-Malletski, znosząc stylowe atyki na ratuszu i kamieniczkach w Ryńku oraz zmieniając dotychczasową architekturę wielu obiektów na formy klasycystyczne. W 1863 r. pod Józefowem w walkach oddziału powstańczego Marcina Borelowskiego — „Lelewela” z przeważającymi siłami rosyjskimi zginął poeta romantyczny Mieczysław Romanowski. Z Zamościa pochodzi rewołucjonista i teoretyk ruchu robotniczego Róża Luksemburg — postać szeroko znana poza granicami naszego kraju, ceniona wysoko przez Lenina. Tu urodził się i spędził dużą część życia klasyk literatury żydowskiej w „jidysz” Iechok Lejb Perc — poeta piszący w trzech językach, dramaturg i nowelista. Artysta mediolański Antoni Argenti w końcu XIX w. wykonuje nagrobek Tomasza Zamojskiego zmar-

łego w 1889 r., znajdujący się w kaplicy Zamojskich w kolegiacie. Z Hrubieszowem związana jest postać Bolesława Prusa. Ze Szczebrzeszyna wyjechał w świat sławny polski malarz z tzw. szkoły monachijskiej Józef Brandt. Takie są najważniejsze tradycje kulturalne wyznaczone nazwiskami długiego w historii południowej Lubelszczyzny okresu od XVII w. do zakończenia pierwszej wojny światowej.

Dwudziestolecie międzywojenne... Nowy rozkwit Zamościa. W różnych latach od 1918 do 1939 r. było w mieście sześć szkół półśrednich i średnich (w ostatnim roku pięć), oprócz nich prywatna szkoła muzyczna. W Warszawie wychodzi cenne czasopismo „Teki Zamojskie” (1919—1921) wydawana potem w samym Zamościu (1938—1939). Drukowali tu swoje prace m. in.: prof. Stanisław Arnold, prof. Józef Kallenbach, prof. Julian Krzyżanowski, prof. Stanisław Łempicki, prof. Aleksander Tarnawski, dr Antoni Wleczorkiewicz i prof. Jan Zachwatowicz — znani wówczas i obecnie uczeni polscy. Bardziej lokalne znaczenie miały dwa inne pisma: „Kronika Powiatu Zamojskiego” i „Gazeta Zamojska”. Stefan Miller założył „Ogród Zoologiczny”. Przyjeżdżały do Zamościa teatry: „Reduta”, „Teatr Wołyński”, odwiedzali miasto sławni artyści, wśród nich Sztompka i Wójtowicz. Istniało wtedy w Zamościu muzeum i znajdowały się dwa bogate księgozbiory: gimnazjalny i biblioteka publiczna Lucjana Kapickiego. Żywa działalność rozwinęło wydawnictwo Stefana Pomarańskiego, w którym drukował m. in. swoje prace znakomity filolog klasyczny prof. Tadeusz Zieliński („Trzy studia”). Wymienić też trzeba nazwisko przedwojennego zamojskiego artysty-malarza Edwarda Kopcińskiego. Piękno miasta wyraził w swoich grafikach znany plastyk Tadeusz Cieślowski. W latach dwudziestych uczył w gimnazjum zamojskim poeta Stanisław Młodożeniec, którego tomik futurystyczny „Kwadraty” wyszedł z miejscowej drukarni w 1925 r. Halina Rogińska — tutejsza polonistka — wydała własnym kosztem zbiorek poezji „Owoce”. Mieszkał tu i dyktował swoje utwory powieściowe, nieraz sensacyjne, często po latach nie do przyjęcia ze względu na stanowisko ideologiczne pisarza, ale w swoim czasie interesujące niektórych odbiorców, niewidomy Jaxa Ronikier, Dyr. gimnazjum Adam Szczerbowski ogłaszał ciekawe rozprawy (np. o Leśmianie), a w drukarni zamojskiej wydał cenną antologię „Współczesna poezja polska 1915—1935”. Tutaj był też drukowany „Rocznik tatarski”, jak również przewodnik po Zamościu Pieszczi i Sochańskiego. Najwybitniejszym jednak reprezentantem zamojskich tradycji kulturalnych tego okresu jest Bolesław Leśmian — poeta piszący w języku polskim, a przed pierwszą wojną także w rosyjskim, znany w Zamościu jako długoletni notariusz, w Polsce zaś i za granicą — jako jeden z największych przedstawicieli naszej poezji międzywojennej i członek Polskiej Akademii Literatury. Może należałoby też przypomnieć nazwisko niefortunnie polityka, lecz wybitnego chemika — prof. Ignacego Mościckiego, który pochodził ze Skierbszowa w powiecie zamojskim.

Szczególnie ostry na Zamojszczyźnie terror hitlerowski pozostawił ślady w poezji Zdzisława Stroińskiego, w pracach Zbigniewa Jakubika („Marka”), autora „Czapek na bakier”, biorącego udział w walkach partyzanckich na terenie Zamojszczyzny, oraz dra Zygmunta Klukowskiego, kronikarza szczebrzeskiego, świadka na procesie w Norymberdze i twórcy popularnego „Dziennika z lat okupacji”, w pracach Wojciecha Sulewskiego, Jerzego Markiewicza, Zygmunta Mańkowskiego i Mikołaja Kunickiego („Muchy”). O walkach partyzantów radzieckich na ziemi

zamojskiej — kowpakowców wspomina Piotr Werszyhora w książce „Ludzie o czystym sumieniu”.

Obecnie Zamość posiada 9 szkół podstawowych, 10 szkół półśrednich i średnich, z których część ma po kilka kierunków, parę liceów i techników popołudniowych dla dorosłych i Studium Nauczycielskie. W budowie znajduje się nowa szkoła średnia im. Dzieci Zamojszczyzny. Jest to poza tym ośrodek uniwersytecki, mieści się bowiem tutaj Studium Zaoczne UMCS. Obok bibliotek przy uczelniach i szkołach jest bogata, prowadząca filie Biblioteka Miejska i zawierająca cenne pozycje biblioteczne między innymi przy Liceum Ogólnokształcącym Męskim. Żywa działalność rozwija PTTK. Przy zakładach są świetlice, istnieje Klub Inteligencji i Klub Pracowników Sądowych. Niedługo zostanie oddany do użytku Powiatowy Dom Kultury. W powiecie są jeszcze trzy szkoły średnie. Znana jest daleko poza Zamościem orkiestra włościańska im. Karola Namysłowskiego o pięknych tradycjach sięgających końca XIX wieku. Działa tu także Teatr Ziemi Zamojskiej, chór o podobnej nazwie, Harcerski Teatr Aktualności, znajduje się Muzeum i Ogród Zoologiczny, istnieją dwie szkoły artystyczne: znane w kraju Liceum Sztuk Plastycznych — prawie rówieśnik Polski Ludowej — i chlubiąca się także dużymi osiągnięciami Niższa Szkoła Muzyczna, która w tym roku obchodzi 15 rocznicę powstania. Bujnie kwitnie życie plastyczne i muzyczne, wykraczając daleko poza działalność instytucji do tego powołanych.

Po wojnie znowu wiele nazwisk ważnych nie tylko dla południowej Lubelszczyzny wplotło się w dzieje tego regionu. W pierwszych latach wolności narodowej i społecznej wychodziło pismo „Tygodnik Zamojski” skupiające grupę miejscowych działaczy politycznych i kulturalnych. Z tutejszej drukarni wyszły najwcześniejsze zbiorki poetyckie w Polsce Ludowej: „Póki my żyjemy” Juliana Przybosa, „Serce granatu” Adama Ważyka, „Godzina strzeżona” Mieczysława Jastruna i „Wojna i wiosna” Jerzego Putramenta. Potem ukazywały się tu także prace młodych naukowców lubelskich (np. dra Ryszarda

Orłowskiego). Z powiatu zamojskiego, z Udrycz pochodzi pierwszy minister kultury i sztuki PRL Stefan Dybowski. Bezpośrednio po wojnie działał w Zamościu znany w kraju prawnik — prof. Jerzy Sawicki i adwokat Branicki. Z Tyszyńca pochodzi znany poeta Arnold Sućki. Przez pewien czas, po wojnie przebywał w Zamościu wybitny grafik, sławny zwłaszcza w okresie międzywojennym, niezłomy już Władysław Zurawski. Tutaj jest kraj lat dziecińczy i młodości kompozytora lubelskiego Aleksandra Bryka. Dwaj muzycy: zmarły niedawno Stanisław Namysłowski, długoletni dyrygent orkiestry włościańskiej, oraz Stanisław Bryk — wychowawca wielu pokoleń młodzieży, który w tym roku obchodzi piękny jubileusz 60 rocznicy pracy nauczycielskiej — to też postacie popularne nie tylko w południowej Lubelszczyźnie. Tu zaraz po wojnie uczył w Liceum Sztuk Plastycznych, założyciel i pierwszy dyrektor tej szkoły, obecnie znany plastyk warszawski Lucjan Pakulski. W Tomaszowie działał znany regionalista lekarz Janusz Peter, a w Szczebrzeszynie bibliofil i autor kilku książek dokumentalnych z lat okupacji, również lekarz Zygmunt Klukowski; obydwa, niestety, już nie żyją. Zmarły Stefan Miller i ciągle rzeźbi Michał Pieszek — długoletni, uczył dotychczas w I Liceum Ogólnokształcącym geograf i autor przewodnika po Zamościu wydanego w okresie międzywojennym — to postacie budzące najwyższe i najpiękniejsze wspomnienia z lat szkolnych u średniego obecnie pokolenia wychowanków gimnazjum zamojskiego. Z Zamojszczyzny pochodzi docent WSR w Krakowie dr Bolesław Smyk. Z Zamościem wiąże się żywe wspomnienie poety Włodzimierza Słobodnika: tu urodził się jego żona, a on sam był w tym mieście w tragicznym wrześniu 1939 r. Stąd wyszło wielu znanych działaczy politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych, dyplomatów, prawników i uczonych, poetów i malarzy młodego pokolenia. Często odwiedzają Zamość sławni uczeni i artyści. Wzrasta zainteresowanie południową Lubelszczyzną, czego wyrazem jest ruch turystyczny i prace o tym regionie Artura Iskryckiego, Zygmunta Mańkowskiego, Jerzego Markiewicza, Ryszarda Orłowskiego, Wojciecha Sulewskiego.

O biurokracji bez złorzeczeń

EMANUEL ISERZON

1.

DLA niewtajemniczonych będzie może niespodzianką, że można mówić o biurokracji bez żalu i gniewu. Tymczasem coraz częściej traktuje się o biurokracji jako wariantie społecznej i systemie administracji. Dzieje się to w nauce administracji i socjologii. W dziejach administracji jako nauce uważa się biurokrację za fenomen postępowy w rozwoju administrowania. Fritz Morstein Marx, znany w Niemczech doby weimarskiej administratywista, który w przededniu przewrotu hitlerowskiego wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki, tam się naturalizował i dziś zajmuje odpowiedzialne stanowisko w biurze prezydenta w Waszyngtonie, swoją głośną w świecie pracę (1957) zatytułował: „Państwo administracyjne. Wprowadzenie do nauki o biurokracji” („The Administrative State. An Introduction to Bureaucracy”). A niemieckie jej wydanie w 1959 r. zatytułował już wprost „Wprowadzenie do biurokracji” („Einführung in die Bürokratie”). w tym wypadku „biurokracja” stała się nawet aż całym działem nauki administracji.

Francuski wyraz „la bure” oznacza sukno do nakrycia stołu. Stąd „bureau” — „stół”, a następnie — „pokój do urzędowania”. „Kratos” oznacza po grecku „władza”. Stąd nowotwór francusko-grecki „biurokracja” dla oznaczenia „urzędowania z za biurka”. Nie umiem powiedzieć, kiedy wyraz biurokracja został użyty po raz pierwszy, ale wiem na pewno, że nie był ten termin używany w państwie policyjnym, które poprzedziło „państwo prawne” („Rechtsstaat”) XIX w. Urzędowanie „za biurka”, „w pokojach do urzędowa-

nia”, nie oznaczało tylko tyle, że praca urzędnika odbywa się przy stole. Praca przy stole znana była chyba już w zamierzchłych czasach. „Urzędowanie z biurka” było na pewno postępowe w urzędowaniu. Było przecież lepsze niż urzędowanie różnych wędrownych komisarzy, agentów i konfidentów panującego. Lepsze niż urzędowanie w bocznych pokojach oberży, w salonach wielkiego świata, w buduarach faworytek, w zacisznej siedzibie szefa junty, a nawet lepsze niż nowoczesne „urzędowanie” w kluarach Kongresu („lobby”).

„Urzędowanie z biurka” spowodowało szereg zjawisk postępowych w urzędowaniu, w porównaniu z poprzedzającym stanem rzeczy. „Urzędowanie z biurka” oznacza, że siedziba osoby urzędującej jest publicznie ogłoszona i znana stronom; że strona jest do biura wzywana i może się sama do biura zgłosić dla złożenia wyjaśnień, dokumentów itp. Oznacza, że sprawa jest „przy biurku” rozważana, planowana, rozstrzygana. Oznacza, że praca osoby urzędującej ma charakter nie przypadkowy i dorywczy, lecz stały, a więc niejako fachowy, że praca jest wykonywana w sposób zorganizowany.

2.

Biurokracja („urzędowanie z biurka”) jako system urzędowania w postaci już rozwiniętej wykazuje szereg cech urzędowania odnoszących się tak do organizacji tego procesu, jak i do kwalifikacji pracowników. Oto one:

a. Zostają utworzone „biura” (urzędy), tj. jednostki organizacyjne, na które składają się ludzie i urządzenia techniczne. Jedność i jednolitość postępowania tych zespołów ludzkich jest zapewniona przez ich podporządkowanie woli kierownika biura. Kierownictwo zespołu może być jednoosobowe lub kolegialne. Kierownik lub kolegium z powodu mnogości spraw nie mogą znać ich bezpośrednio i osobiście i dlatego muszą z konieczności opierać się na elaboratach członków zespołu. Muszą nieraz, z zaufaniem do swoich współpracowników aprobować na wiarę przygotowane

(Dokończenie na str. 9)

Projekt założenia szkoły dramatycznej

STANISŁAW DĄBROWSKI

TOMASZ Andrzej Chelchowski, dyrektor teatru w Lublinie, złożył do Prześwietnego Rządu Gubernii Lubelskiej w 1838 r. podanie, prosząc o załatwienie kilku różnych jego spraw, dotyczących administracji teatru, m. in. o zezwolenie na prowadzenie w Lublinie szkoły dramatycznej i baletowej. Okres dziejów teatru lubelskiego tych lat nie był dotychczas opracowany i publikowany, — więc ze względu na interesujący temat podajemy ten fragment do druku.

Chelchowski (1805—1862) był dobrze znany w Lublinie, grał tu i dyktował w latach 1829 do 1831, 1835 do 1839, — a jeszcze później 1845 do 1847 i 1857, 1858. Rzutki antreprenera w ciągu swej kariery teatralnej objechał wiele razy całą Polskę, — ale specjalnie często wracał do Lublina i okolicznych miast. Tu dwukrotnie znalazł sobie żonę, raz wdowę — dla majątku, drugą swoją żonę przysposobił na aktorkę.

Chociaż drobnego wzrostu, Chelchowski zręczny był na scenie i nie bez zdolności aktorskich. Prowincja uznawała go jako aktora: „czy to w rolach wyższego rzędu, w dramatach, czy też w komediach, w nawet mniejszym talencie” (Kurier Warszawski, 1835, nr 99).

Chelchowski jako dyrektor krzykiem i ostrą dyscypliną trzymał swoją kompanię, złożoną z młodych przeważnie sił, w ryzach i karność. Jako człowiek nieraz poważnie wpadał w kolizję z etyką i prawem, jednak umiał się wywikłać z kłopotów i ocalić od więzienia. Legenda od wielu lat utrzymująca się i przez niego roztrąbiona — reklamą w prasie słała go jako znakomitego pedagoga. A on po prostu miał dziwne szczęście w przygarnianiu zdolnych młodzików, reszta dokonała strach przed wymaganiami dyrektora, który umiał szerzyć dokoła siebie atmosferę tyranii. Sam niewiele nauki wyniósł z liceum. Na większych scenach z trudem się utrzymywał na stanowisku kierowniczym, z powodu braku inteli-

gencji, wiczy i znajomości repertuaru wartościowszego. We Lwowie np. ogłosił w repertuarze „Hamleta, oryginalną tragedię dla sceny lwowskiej napisaną”. Okazało się, że sufler znalazł starą rolę i nie znając oryginału sztuki napisał wykonczywaną przez siebie całość!

Od października 1838 r. zaczął Chelchowski sezon, po kursie letnim w Płocku, Siedlcach, Kaliszu, młóćąc wszędzie ten sam swój repertuar, który dał i w Lublinie. Na afiszach przeważały melodramaty o bombastycznych, wrzaskliwych tytułach, które antreprenier im nadawał, by w ten sposób preparować pułapki na naiwnych widzów. Prócz znanych jak: *Marnotrawca Fr. Rajmunda, Parawiedes bankier hiszpański R. Deslandes'a, Bracia niezgodni (Meryno wódz Gerylasów hiszpańskich) A. Kotzebue, Wariatka K. Desnoyersa i H. Gairauxa, Włóczęga J. Mallian i Cormana*, widniały na afiszach: *Widmo krwawe* czyli *Nieboszczka A. Bourgeoisa, Rycerz Feniksa* czyli *Wdowa 30 tysięcznoletnia*.

W 1838 r. dekoracje pacykował w teatrze Chelchowskiego jak umiał Franciszek Malinowski, lublinianin, czasem malarz, czasem aktor i kasjer teatralny, ojciec Wiktora Adama M., znanego dekoratora warszawskich teatrów.

W zespole byli prócz Tomasza Chelchowskiego: żona jego *Karolina z Kodrebskich* (1822—1888), lublinianka, ładna choć słaba aktorka, która tu grała pierwsze role. *Michalina Piwecka* (zm. w r. 1873), po Lublinie aktorka krakowska. *Marceli Zenopolski* (1818—1873) z lubelskiego golibrody awansował na tegiego komika wielkich scen.

Terminował tu późniejszy znakomity artysta teatru *Rozmaitości Jan Królikowski* 1820—1886), wówczas jeszcze amantem komediowy — później wielki tragicz warszawskiej sceny *Anastazy Julian Tomaszewicz* (1820—1845), charakterystyczny aktor. *Ignacy Chomiński*

(1819—1846) o pięknych warunkach amant-bohater, później ozdoba sceny krakowskiej, uczestnik rewolucji 1846 roku, który w czasie jej zginął. *Michał Chomiński*, brat młodszy (1821—1886), komik długoletni sceny *Rozmaitości*, obaj pasierbowie Chelchowskiego, *Leon Karsznicki* (1815—1875) o dobrych warunkach, bas. To były najpiękniejsze siły sceny lubelskiej w 1838, wszyscy przeważnie młodzi ludzie i jak na prowincję ówczesną siły doskonałe*, lecz spośród nich trudno byłoby wybrać pedagogów do szkoły dramatycznej.

A oto podanie Chelchowskiego: **
Do Prześwietnego Rządu Gubernii Lubelskiej

Podpisany ukoncesjonowany Entreprenier Dyrektor Teatru Lubelskiego, chcąc zadość uczynić żądaniu Publiczności, aby na zawsze stał obrat zamieszkanie w Lublinie, i przez Deklaracją swoją Prześwietnemu Rządowi swój pobyt zabezpieczył pospiesza więc z oświadczeniem zadość uczynienia żądaniu Publiczności Lubelskiej. — Lecz zanoszę prośbę do Prześwietnego Rządu aby idąc w pomoc podpisanemu, dla wsparcia i utrzymania jego kompanii, nie mniej trwałego powodzenia, raczył wyjednać następujące dobrodziejstwa.

1) Podpisany będąc w obowiązku jako Dyrektor Teatru Miejskiego przedstawianiu ośmiu w roku widowisk bezpłatnych w dniu galowe Dworskie uprasza aby na pokrycie kosztów rzeczonych reprezentacji, za

* W prośbie swej Chelchowski chwili się aktorami, którzy wyszli z jego imprezy na stanowiska na stołecznej scenie: *Józef Komorowski* (1818—1859), romantyczny kochanek, *Jan Nepomucen Chomanowski* (1818—1868), charakterystyczny do ról polonów, *Florian Skomorowski* (1814—1855), amant, *Józefa Radzińska* (1815—1876), amantka scen warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej.

** Arch. Państw. Lublin: T e p. 5: G.L.N. 1. lit. Tajne. Nr. 3.

każde widowisko bezpłatne po zł. 600, najmnij miał sobie fundusz zabezpieczony.

2) Aby od opłaty zwanej kanonem do kasy Miejskiej wnoszonej był uwolniony.

3) Aby 1/3 część ceny z każdego biletu z wszelkich widowisk publicznych i koncertów w Lublinie się odbywających, na korzyść podpisanego była zapewniona.

4) Aby trzy dni w tygodniu to jest niedziela, wtorek i czwartek w których zwyczajnie reprezentacje Teatralne się odbywają dla innych widowisk były wyłączone.

5) Prześwietny Rząd mając przekonanie że znany komplet zawierający trzydziści kilka osób Artystów i Artystek Dramatycznych jedynie przeze mnie usposobionych, z których w obecnym czasie i na scenie warszawskiej Aktorowie: *Komorowski, Chomanowski, Skomorowski* i Aktorka *Radzińska* przyjęcie znajdują, zdolności moich nie zaprzeczą. — Przetem podpisanemu dozwolenie utrzymywania Szkoły Dramatycznej i Baletu własnym kosztem raczy udzielić.

6) Aby jeden członek Policji — dla utrzymania sprężystego porządku w każdym względzie był w pomoc podpisanemu dodany.

Temi dobrodziejstwami Prześwietnego Rządu usparty, o lokal dogodniejszy dla Teatru postara się — i śmie niewątpliwie: zapewnić przyzwoite wystawy Sztuk, wzorowy porządek, dobrych Aktorów dla Publiczności Lubelskiej i użytecznych krajowi Artystów.

Z wysokim poważaniem i uniżoną ściegą śmie oczekiwać Rezolucji

T. A. Chelchowski

w Lublinie dnia 7 Grudnia 1838 r.

Jedyną wówczas szkołą dramatyczną w Polsce była założona przez *Wojciecha Bogusławskiego* 1.VI.1811 roku, — a dotrwała do 1867, gdy po powstaniu styczniowym została przez rząd za-

Sylwetki literatów

PODLASKIEGO STOIKA WĘDRÓWKA PRZEZ EPOKI

ZBIGNIEW JAKUBIK

AKCENTY relatywizmu naszych postaw, naszych możliwości, celów i osiągnięć, pojawiające się już w debiucie scenicznym *Włodzimierza Chelchowskiego* — „Milości i wojnie”, wystawionej przez *J. Osterwę* w roku 1921 (szósta z kolei historyczna premiera „Reduty” po premierach sztuki *Zeromskiego, Rittnera, Szaniawskiego, Zablockiego i Orkana*), akcenty przejawiające się również przez wszystkie następne komedie pisane od tego czasu z heroicznym zaiste uporem do szuflady — są niewątpliwie spolaryzowanym literackim refleksem specyficznej właściwości psychiki autora „Portretu”, właściwości modelującej w jakimś sensie burzliwą i malowniczą biografię lubelskiego dramatopisarza.

Właściwość ową trudno dokładnie zdefiniować. Złotliwy określiłby ją może jako swoistą ambiwalencję dążeń i zainteresowań; pochlebca — jako wielotorowość nie zawsze zharmonizowanych pasji. Podejrzewam, że prawdy szukać należy poza obu biegunami, w strefie bardziej umiarkowanej.

Dotychczasowy kształt biografii *Wł. Chelchowskiego* wyznaczają — jak się zdaje — dwie nie styżne, co prawda, lecz i nie wykluczające się kierunkowe. Jedną z nich jest odziedziczony, kształtowany przez wiele pokoleń (i aurbanistyczny w swej naturze) pociąg do tego wszystkiego, co ma bezpośredni lub pośredni kontakt z ziemią, a więc — najogólniej rzecz biorąc — do elementów, które stanowią składowe kultury rolniczej. Druga kierunkowa, to głęboko zakorzenione i będące typowymi produktami kultury wielkomiejskiej — jego zainteresowania artystyczno-twórcze.

Te dwie niezborne w konkretnym wypadku (ze względu na jednorodność psychicznego angażowania się autora „Milości i wojny”) wiodące skłonności, z jednej strony zdeternowały kierunek drogi życiowej *Wł. Chelchowskiego*, z drugiej — wpłynęły w sposób decydujący na ukształtowanie jego osobowości.

Dominowała, mniej lub bardziej wyraźnie, pierwsza kierunkowa. Zainteresowania twórcze dochodziły do głosu w momentach, gdy słabła lub zanikała siła grawitacyjna kontaktu z ziemią. Wolno przypuszczać, że momenty te nie zawsze wolne były od bolesnych wstrząsów i wewnętrznej rozterki. Najbardziej interesujące rozdziały w tę bogatą, pełną kapryśnych me-



andrów, gwałtownych spięć i zaskakujących point biografie, wpisała jednak sama historia.

Zaczął się stereotypowo od szkoły handlowej *Rontalera*. Równie naturalny był wyjazd do *Lipska A. D.* 1907 w celu kontynuowania i pogłębienia owej statecznej nauki. Izolowany podwójnym kordonem od radiacji kraju nad Wisłą, młody handlowiec in spe wykonywał wówczas swą pierwszą finię: wylądował na ławie *genewskiego Faculté des Lettres*. W roku 1910 przycumował w *Krakowie* pod opieką uczymy skrzydłami prof. *Chrzanowskiego*. Po dwóch latach zwagał do *Paryża*. W *Krakowie* czekał już urzędowy list za kordonu, wzywający przedsięwzięcie globotrotera przed komisję poborową. Wizja *soldackich koszar* w zestawieniu z rzeczywistością paryską była nie do przyjęcia, nawet jako kara za trzymiesięczne wargary. Kandydat na *rekruta* rozpoczyna walkę z *carską administracją wojskową*, którą kończy po roku w *kijowskim szpitalu wojskowym*. Wraz ze zwolnieniem od poboru, otrzymuje wezwanie mobilizacyjne.

Dwa lata walczy na froncie jako zwykły żołnierz, bierze udział w bitwie pod *Gołticami*, zostaje ranny w jednej z walk nad *Stochodem*. Okres kuracji i rekonwalescencji wykorzystuje właściwie; dostaje się do wojskowej szkoły inżynierskiej w *Petersburgu*. Kilka miesięcy później jest świadkiem historycznych wydarzeń. Słyszy pierwszą salwę „*Aurory*”, obserwuje szturm i zdobycie *Pałacu Zimowego*. Z garstką *Polaków* przedziera się na zachód. Dociera do *jenieckiego obozu* pod *Hanowerem*.

Po powrocie do kraju pisze „*Miłość i wojnę*”. Sześćdziesiąt przedstawień i życzliwa reakcja krytyki otwierają młodemu debiutowi drogę na sceny warszawskiej. Szansy tej nie wykorzystał. Wycieńczony, zalanym nerwowo przeżyciami ostatnich lat, zagrożony widmem gruźlicy, przenosi się z *Warszawy* na rodzinne *Podlasie* z żoną, którą poznał w *stolicy*. Dzięki jej wysiłkom i energii odzyskuje równowagę psychiczną, wraca do zdrowia. Nie pisze. Fascynacja ziemią działa. W roku 1934 epidemia nosaczyny niszczy doszczętnie *miniaturową stadninę* — owoc jego wieloletnich wysiłków, pieczołowitych zabiegów i nieustannej pielęgnacji...

Po powrocie z dwumiesięcznej kuracji z *Włoch*, ze zdwojoną siłą dochodzą do głosu zainteresowania twórcze. Powstają „*Kapitałści*”. Rok 1938. *Zelwero-wicz* przyjmuje sztukę ciepło, wyznacza reżysera — *A. Cwojdzickiego*. Nowa komedia ma wejść na scenę w sezonie teatralnym 1939/40.

Po wyzwoleniu *W. Chelchowski* przenosi się na stałe do *Lublina*. Raz jeszcze zaczyna od nowa. Rekonstruuje z pamięci ostatnią sztukę. Daje *Różyckiemu* *Opinia* *Warszawy* brzmi: — Nie polecamy; jeżeli chcecie — grajcie na własne ryzyko.

Ma lat 58. Po porażce, przyjmuje stanowisko inspektora stacji hodowli nasion. Przez 10 lat, bez względu na porę roku, większość czasu spędza w terenie. W dniu przejścia na emeryturę, zasiada przy biurku. Powstają kolejno: „*Portret*”, „*Dolary*”, „*Twarz i maska*”. To te, które nie zostały zniszczone. Żadna, jak dotąd, nie ujrzała światła ramy.

Od kilku lat lubelskie środowisko literackie przeżywa renesans twórczy. Każdy z nas, w miarę swych sił, uprawia swą działkę, każdy, na własną, jemu tylko właściwą skalę, przeżywa gorzyc rozczarowań i radość sukcesów. Najstarszemu z nas, najskromniejszemu — los przeznaczył działkę najbardziej kamienistą. Pracuje na niej najdłużej. Pracuje w ciemności. Sztuki *Wł. Chelchowskiego*, jak każde zresztą dzieło literackie, mają niewątpliwie błędy i usterki. Z owymi błędami i usterkami są lepsze od wielu sztuk „*użytych*”, które w ciągu dwudziestu lat przewinęły się przez teatry polskie; o klasę lepsze od niektórych wprowadzanych nieraz na scenę przy dźwięku surm. Poza tym sztuki *Chelchowskiego* są „*niesprawdane*” i wciąż „*otwarte*”. Ostateczny bowiem kształt każdego dramatu realizuje się w toku jego inscenizacji, która jest rezultatem kompromisu: wyniku konfrontacji wizji twórcy z wizją inscenizatora. Prawa do takiej konfrontacji jest *Chelchowski* pozbawiony. Pisze *Podziwiam* postawę autora „*Portretu*” oraz jego absolutnie bezinteresowną wierność literaturze.

mknęta. Przechodziła przez kilka prób przeorganizowania. Zamknięta czasowo w 1832 r. i otworzona w 1836 już w skromniejszym zakresie, uwzględniała w dwuletnim planie praktyczne ćwiczenia w szerszym programie.

Założona w 1811 r. dla 6 chłopców i 6 dziewcząt, nie dawała wielkich rezultatów, ta pepiniara właściwie nie wyhodowała w pierwszym okresie wielkich talentów. A zapotrzebowanie nowych młodych sił na przybywających scenach wciąż się wzmagalo. Nawet warszawski teatr ciągle był w poszukiwaniu nowego narybku i wylądował ile mógł z prowincji.

"Tygodnik polski i zagraniczny" z 23.X.1819 roku ostrzegł (a propos nieudanego przedczesnego występu Lućwika Bobrowskiej): „Brak osób przynusza niestety dyrekcję teatralną uczniów szkoły dramatycznej na scenę wypowiedzi (...). Publiczność pokazujący się talent powinna przez pobłażanie pielęgnować, lecz nie przyznawać mu doskonałości od razu. Cóż zrobi ten co nagle z malej iskierki chce wielki płomień wybuchnąć... Oto zagasi!”

Chelchowski jako 17-letni młodzieniec uszczęśliwił trochę fachowej wiedzy w Szkole Dramatycznej warszawskiej jako uczeń Kudlicza, więc w projektowaniu założenia lubelskiej mógł oprzeć swój plan na tym wzorze.

Pomysł Chelchowskiego mający na celu podniesienie w opinii rangi jego

skromny obiad, Schiller i Hans siadali do fortepianu. Dyskusje i piany dalszej wspólnej pracy nie miały końca. Snił się nam teatr „OGROMNY”, o którym marzył Wyspiański. Po wojnie Hans Effenberger mieszkał w Warszawie. Ostatni raz był u mnie przed samym wybuchem wojny 1939 roku. Nie wiem, czy żyje, a jeżeli żyje, gdzie jest ten piękny i niezwykły człowiek.

Okres Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy spędziliśmy w Krakowie. Cate ranki Lulek pracował. Łaziliśmy po starych klasztorach, gdzie przez znajomości w sferach zakonnych otwieraliśmy przed nami jakieś stare, oibrzymie szafy, i Lulek wypisywał z poślizniętych kart zapisanych nutami i tekstami różne potrzebne mu melodie i teksty. Oglądał ryciny naiwne i piękne w wyrazie, uśmiechał się do tych twarzy zapatrzonych w rzeczy niezemskie i dalekie. Kto nie widział Schillera, ale otwierał z nabożeństwem ukochaną książkę, delikatnie dotyka starych kart, ten nie zna prawdziwej jego twarzy. Po takiej wizycie klasztornej, szliśmy do domu w ciszy i skupieniu. Lulek po powrocie, złożywszy swoje drocenne zapiski w szufladzie biurka, siadł zaraz do fortepianu. Brał jakieś akordy, coś tam sobie notował i znowu wracał do swej biblioteki. Siadł przy biurku i wertował świeżo zebrane zapiski.

Użyteczność tworzenia i utrzymywania szkoły dramatycznej była nieraz roztrząsana i krytykowana, lecz przeważało zawsze zdanie o jej potrzebie. Dyr. Stanisław Kozmian, mądry człowiek teatru mówił, że „najgorsza szkoła dramatyczna jest lepsza od żadnej i istotnym założeniem jest nauczyć mówić przynajmniej przyszłych aktorów”.

Nie wiemy, jak się rząd ustosunkował do podania Chelchowskiego, ale też głucho o tym, czy uzyskał on żądane uprawnienia, w każdym razie szkoły nie otworzył.

Teatr odnowił dyrektor z pomocą obywateli miejscowych, omotał i naciągnął jakiegoś miejscowego weterana, który dał mu 400 zł pol. na upiększenie sceny.

Chelchowski w zakończeniu podania zapewnia, że będzie dawał „przyzwoite wystawy sztuk”, widocznie chciał sobie poprawić opinię, — w ówczesnej korespondencji z prowincji do stołecznej prasy znajdujemy częste narzekania publiczności na kiepskie jego dekoracje i nędzne kostiumy!

W okresie wielkanocnym na rynku krakowskim przed Sukiennicami tańczył Lajkonik. Biegłszy przez ulicę Wiśnią, by stanąć najbliżej szpaleru, który ochraniał miejsce tańczącego Lajkonika. Przybrany bogato złotem, wstążkami, cekinami, siedząc okrzakiem tatarski Chan groził śmiałościem beriem z włosia, a nierzadko śmignął nim przez plecy. W tańcu wśród śmiechów i krzyków pędzono go aż za Krakowską Bramę. Przygrywała chłopka orkiestra. Kiedyś tak będzie tańczył w „Pastorale” — Lajkonik który wiezie pastuszkę na swym drewnianym grzbiecie do stajenki Betlejemskiej. A w Schillerowskich Misteriach Wielkonoce ileż jest reminiscencji z naszych spacerów na Skalkę, ileż wieczorów spędzonych na dziedzińcu Wawelskim, ileż zapatrzeń na rzeźby Wita Stwosza... A melodia Hejnału odmierzająca godziny wołaniem pełnym powagi, ostrzegawczym — tragicznie przzerwana na wysokiej nucie — to wszystko gdzieś czekało w duszy przywołane, by urodzić się w obrazach inscenizacji nie tylko w tragediach wielkich naszych wieszczów, ale i w rozchukanych wesołych wodewiłach. Ich urok największy jest właśnie w tych niespodziewanych przejściach w sentyment i ciszę, w której, jak mówi Dante w jednym ze swoich sonetów, „Nad głowami ludzi przelatuje anioł...”

Po powrocie do Krakowa w 1917 roku postanowiliśmy nie marnując czasu, wzięwszy sobie za impresarią młodego sprytnego człowieka p. Eugeniusza Bujańskiego (później dyrektora administracyjnego Teatru Słowackiego w Krakowie), opracować Koncert Staropolskiej Poezji, Pieśni i Muzyki. Wieczór wypełnialiśmy tylko we troje. Lulek śpiew, ja deklamacja i melodeklamacja, Dygat fortepian. Powodzenie było oszalamiające. Sprawozdania entuzjastyczne w polskich i pełne zachwyty w niemieckich dziennikach. Sala koncertowa przepelniona tak, że musieliśmy powtarzać koncert przy znowu wyprzedanej sali. Potem dawaliśmy kilka tych koncertów bezpłatnie w Zakopanem, w sanatoriach prywatnych i wojskowych dla chorych i rannych żołnierzy.

Rodzice Lułka godni są najwyższego podziwu. Ich dom był domem nie tylko dla syna i jego żony tj. dla mnie, dla córki i jej męża — Jurka Leszczyńskiego, ale dla naszych przyjaciół i gości, którzy nieraz schodzili się już od czwartej po obiedzie i zostawali gośczeni do późnej nocy. A rodzice byli szczęśliwi naszym szczęściem. Matka nie szczędziła trudów, ojciec wyjmował z ogniotrwałej kasy topniejące wciąż oszczędności. Z powodu twardej zasad „nie paskowania w czasie wojny” kupiec-idealista po jej zakończeniu obliczył swój kapitał na zero,

ZWIĄZKI RODZINNE AKTORÓW POLSKICH

JERZY ZAREMBA

PRZY BADANIU akt stanu cywilnego kolegiaty lubelskiej i parafii św. Jana w Lublinie znajdujemy wiele ciekawych wzmianek dotyczących mniej lub więcej znanych późniejszej aktorów polskich, a nawet całych „dynastii” jak Trapszowie, Krzesińscy, Ładnowscy oraz wielu, którzy zapisali się zaszczytnie w historii polskiego teatru, jak Zelwerowicz, Gierasziński i inni.

Tą garścią notat biograficznych chciałbym podzielić się z czytelnikami, dla których historia naszego miasta i ludzi z nim związanych jest ciekawa i cenna.

Trapszowie. W dniu 17 sierpnia 1832 r. Franciszek Trapszo, intendent gmachów wojskowych w Zamościu, mający lat 46, „w przejeździe przez Lublin do Groyca” (jak to w akcie figuruje) chrzcił syna Anasztazego-Franciszka, urodzonego w twier-

(Dokończenie na str. 10)

zdając się tylko na bieżący zarobek.

Dom Schillerów w tym czasie zamienił się na klub artystyczny gdzie wrzalo od dysput, dowcipu, humoru, muzyki, śpiewu. Z rozrzuconiem widzę, inteligentne młode twarze, roześmiane, czy rozgrzane dysputą, ludzi w mundurach, smokingach lub zniszczonych wytartych marynarkach — widzę ich siedzących wokół dużego jadalnego stołu, na którym matka stawiała smakołyki, mięsa zimne, gorące dania i flaszki win przednich, wydobywane przez ojca z dużych szaf. Dowcipy strzelały jak rakiety i dyskusje niekończące się rozplamiwały mózgi i serca. Byli to ludzie, których nazwiska zajmują dziś zaszczytne miejsce w literaturze, dziennikarstwie, rzeźbie, malarstwie, teatrze. Młody legionista i literat Ludwik Morstin miał już na swoim koncie piękną sztukę „Lille” graną w Teatrze Słowackiego z Siemaszkową w roli głównej, Karol Hubert Roztworowski miał poza sobą sukces „Judasa” z Solskim w roli tytułowej. A teraz czytał nam skończony akt I „Kaliguli”. Bywali w tym domu Boy-Zeleniści, Effenberger-Sliwiński, malarz — Józef Czajkowski, rzeźbiarz Jan Szczepkowski (na urlopie zdrowotnym, bo ranny na froncie), krytyk literacki Emil Breiter (w czasie drugiej wojny zginął w getcie warszawskim), dwaj bracia Pronaszkowie — (z którymi Lulek urządził w Krakowie wystawy nowych dekoracji teatralnych), Ludwik Solski, Kornel Makuszyński, Karol Frycz, Laura Pytlińska (aktorka o wysokiej kulturze i niebyle jakie urodzie, córka Marii Kopnickiej), literatka Maria Szczepkowska, Rudolf Starzewski, Witold Noskowski. Poza tym aktorzy Junosza, Bończa, Welchert i wielu innych. Tym, co żyją i tym, co już odeszli, często dziękuję w myślach za młodość moją, którą otoczyli wdziękiem przedniego dowcipu, powagą swych myśli, prawdą i odwagą czynu. To oni utwierdzili we mnie wiarę w sens pracy dla ludzkości na każdym odcinku i wartość nieprzemijającą życia, wśród mijających bezpowrotnie godzin.

A potem był rok 1918. Solski wziął Teatr Polski w Warszawie. Zaangażowani przez niego Schiller, jako kierownik muzyczny i literacki, ja, jako aktorka, znaleźliśmy się w ukojonej stolicy niepodległej Polski.

Nowi ludzie i piękni ludzie! Niech mi przebaczą mądry, odważny i świętyni poeta pan Antoni Słonimski, towarzyszy tych pierwszych dni, że moje skromne wspomnienia z tamtych czasów uświetnił strofą z ulubionego tomu jego poezji pt. „Popiół i wiatr”.

Ach jakże mi mówić o tych dniach
[radości,
O tej chmurnej jesieni,
[gdy w szumiącym wietrze
Szedł nad miastem „rodzinnym”
[pierwszy wiew wolności
Kiedyśmy pełną pierśią
[pili to powietrze,
Nocą w ciemnych alejach
[stłoczeni szpalerem,
Czekając, aż zaplonie świat
[nad Belwederem

W dziesiątą rocznicę śmierci LEONA SCHILLERA
Zofia Modrzewska

KILKA KARTEK Z PAMIĘTNIKA

(Dokończenie ze str. 1)

W pokoju Dygata stał tylko jego fortepian, też przywieziony z Krakowa, przed fortepianem taboret, w kącie — mały tapczan. Szafy były w murze. Wracając na stałe do Polski zabraliśmy tylko fortepian, książki i jedną walizkę ze skromną naszą garderobą, a reszta została przez dozorcę domu sprzedana jakiemuś lokatorowi.

Dźwięki dwóch fortepianów napelniały uszy, wlażyły przez czaszkę do mózgu, rozsadały ściany. Trzeba było uregulować jakoś tę sprawę. Lulek komponował swoje lekcje rano uderzając te same akordy dziesiątki razy. Zygmunt Dygat po południu ćwiczył bez przerwy kilka godzin, póki każdy palec nie wydobyl takiego dźwięku, o jaki chodziło młodemu pianiście. Byłam więc szczęśliwa, kiedy (co drugi dzień) wybiegałam na całe popołudnie na lekcje do szkoły prof. Fabre'a. W ten sposób mogliśmy żyć w niezachwianej harmonii nie przeszkadzając sobie w pracy.

Obiady jadaliliśmy w studenckiej jadalni, wieczorami chodziliśmy przeważnie do teatru, na koncerty lub pokazy taneczne. Bilety dostawaliśmy za darmo. Lulek i Zygmunt na koncerty, ja na pokazy taneczne. Na opery i wartościowe sztuki dramatyczne jako studenci kupowaliśmy tanie bilety ulgowe. Był to zresztą nakaz naszych profesorów, co wypełnialiśmy z radością.

Najmilsze były niedziele. Zawsze ktoś do nas przyjeżdżał z Krakowa. Boy Zeleniści zjawiał się u nas w mundurze oficera austriackiego, wzięty do wojska jako lekarz, który miał obowiązek także dokonywać operacji, gdyby tego zaszła potrzeba. Z przerażeniem myślałam o możliwości wyjazdu do polowego szpitala ponieważ po skończeniu medycyny nie przyjął ani jednego pacjenta. Został bowiem z umiłowania tłumaczem wiekopomnych dzieł francuskich i zapomniał o tym, że kiedyś na żądanie ojca skończył medycynę.

Usiadł ponury jak noc. „Oj Boże, Boże” westchnął ciężko (Boy spełnił przy wymawianiu litery ż i miało to jakiś dziecienny wdzięk w jego ustach). Lulek śmiał się: „No i co pan zrobi, jak panu każą amputować nogę?” Boy zatykał uszy i zaczynał wyć na cały głos, jak ranny orangutan. „Nie! Dajcie pokój! UUUU! Nie! nie!” A tymczasem skargi wpływały do komendy sanitarnej na biednego Boya. Pacjent pisał: „Zbadał mnie — stoi i patrzy w okno. — No i co pan skonstatował — nie doktorze? Co mi jest? — pytam — „Som tacy co wiedzom i podał adres najbliższego lekarza. Tak! doktor!!!

Pewnego dnia szedł zamyślony przez rynek krakowski, nie widząc nikogo i cicho gwiżdżąc, jak to miał w zwyczaju. Nie zasalutował przechodzącemu pułkownikowi austriackiemu. Zbudził

go z zamyślenia dopiero okrzyk: „Halt!” potem usłyszał kilka obraźliwych słów. Nazajutrz wezwanie do kancelarii, gdzie oświadczone mu, iż jest skazany na tydzień więzienia za lekceważenie władzy. Przesiedział spokojnie karę, a po wyjściu dowiedział się, że na skutek interwencji polskich władz miejskich przeniesiony został do cywila.

Z każdym gościem przyjeżdżającym z Krakowa szliśmy razem do studenckiej jadalni, o ile oczywiście on właśnie nie zaprosił nas do wykwińskiej restauracji, co się czasem zdarzało. Po obiedzie prowadziliśmy go do Luna Parku! Nie było rozkoszniejszej zabawy, jak w towarzystwie Lułka i Boya zjeżdżać z wysokiego podestu w małej płytkiej łódce z karkołomnym pędzie wprost do otworu dzikiej pieczary, której dno bulgotało wodą i i przez jej ciemną czeluszki wydostawać się na niebieskie jezioro, by przybić do szczęśliwego brzegu. Podczas jazdy Lułk i Boy wrzeszczeli przeraźliwie na cały głos jak wystraszone dzieci, ja z Dygatem śmialiśmy się tak, że raz o mało nie wypadliśmy z łodzi do wody, a tłum wesołych wiedeńczyków bił brawo i śmiał się razem z nami. Ale bywały też dni ciężkiej trwogi i lęku.

Jeden z najbliższych przyjaciół w naszym wiedeńskim okresie, poeta i tłumacz wierszy na język angielski Hans Effenberger, był po ojcu Anglikiem. Matka jego miała w sobie krew polską. Przed wojną przyjechał na jakieś zawody narciarskie do Zakopanego i zakochał się w Polce. Na wieść o wybuchu wojny poszedł z legionami na front. Po kilku miesiącach wycofano go, gdyż posiadając kilka języków, okazał się potrzebny poza frontem. Przybrał do swego nazwiska Effenbergera nazwisko matki i używał w odtąd Effenberger-Sliwiński Jan. W rok nauczył się doskonale po polsku, zachowując oczywiście dość mocny akcent angielski. Mówił świetnie po francusku i po niemiecku. Znając źródłowo literaturę europejską, wczytywał się też w romantyków polskich: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Wyspiańskiego. Rozkochany w polskiej romantycznej poezji, marzył o przetłumaczeniu jej na język angielski, twierdząc, że nie ma sobie równego.

Posiadał głębokie wykształcenie muzyczne, głos barytonowy piękny i grał dobrze na fortepianie. Nie też dziwnego, że on i Schiller, tych dwoje ludzi wszechstronnie i nieprzeciętnie uzdolnionych zaprzyjaźniło się ze sobą od pierwszej chwili poznania. Kiedy Effenberger przyjeżdżał do Wiednia nie wychodziliśmy z domu. Jedliśmy w domu

Autorka tych wspomnień, jedna z pierwszych absolwentek rolniczego UL, jeszcze z czasów, kiedy jego siedziba mieściła się w Pawłowicach, jest przodującą gospodynią wiejską w Nowej Wsi, powiatu jędrzejowskiego, znaną działaczką społeczną, przodownicą czytelnictwa. Red.)

W 1944 r. w mieszkaniu rolnika, Wincentego Turka, we wsi Jeziorki, skromnego, cichego chłopca, a przecież w rozumieniu naszym bohatera, znaleźliśmy gościnnie, pomoc i opiekę. Z narażeniem życia własnego i rodziny nie zawahał się odstąpić własnego domu na tajne nauczanie, na prowadzenie pierwszego, najbardziej romantycznego kursu naszego UL. Pozdrawiamy Go dziś serdecznie, cieszymy się, że żyje, że wychował godnie swoje dzieci.

Postawa chłopów naszego powiatu, ich przywiązanie do idei UL, stosunek byłych wychowanków Solarza do nas, sprawiły, iż już w styczniu 1945 r. natychmiast po wyzwoleniu przystąpiliśmy do organizowania jawnie działającego UL w Pawłowicach, w byłym dworze ziemiańskim.

zawsze nasz UL. Był i jest naszym Domem. Niejeden — i niejedna — odnalazł tu siebie, niejedną po wyjściu z tego Domu zaczynał żyć inaczej, głębiej, mądrzej, szlachetniej. Wracał tu zresztą niemal zawsze. Myślą lub czynem. Dotąd istnieje jeszcze tradycja odwiedzania tego Domu w ciężkich i radośnych chwilach.

Czego dokonali nasi koledzy? Co jest ich niewątpliwym dorobkiem? Popularyzowali wiedzę, budowali pomost między ludźmi a książką, zwalczali wszystkimi środkami wychowawczymi zabobon, irracjonalizm, obskurantyzm. We dnie i noc, grzęznąc po kolana w błocie, docierali do oddalonych wsi, do każdego domu, nosili gazety, książki, przychodzili ze słowem, które miało wartość: było żarliwe, prawdziwe.

Budowali drogę z Pawłowic do Sędziszowa, zakładali linię wysokiego napięcia, wbijali słupy telefoniczne, sprowadzili pierwsze traktory, maszyny, wyświetlali pierwsze filmy w tych wsiach, w których ani jeden mieszkaniec nie widział w tamtym dwudziestolecu płonącej żarówki, nie jeździł nigdy sa-

innych ludzi, wzbogaciłymi treści wychowawcze, przywycailiśmy się szanować słowo, wprowadziliśmy permanentny konkurs na opowiadanie i recenzowanie książek, który trwa do chwili obecnej, a odbywa się od lat w każdą środę.

Od dziesięciu lat odwiedza nas stale raz w miesiącu świetny zespół Filharmonii Narodowej z Warszawy. Dzięki temu wszyscy absolwenci UL są nie tylko melomanami, ale i rozumieją wpływ muzyki w procesie wychowawczym, w szczególności zaś w wychowaniu estetycznym.

Niemalże udział w tym właśnie procesie ma prof. Konior, który od wielu lat dojeżdża do nas z dalekiej Łodzi, by umuzykalniać młodzież wiejską.

Szczególną pomoc okazała nam pani Olga Szrednicka, artystka z Krakowa. Dzięki niej nauczyli się nasi ludzie patrzeć na sztukę, zdobić swoje domy wartościowymi obrazami.

Od lat ustalili się tu obyczaj urządzania wystaw. Trzeba stwierdzić, iż coraz więcej malarzy wystawia tu swoje obrazy, coraz więcej znajdują tu nabycy. Pamiętamy wystawy Ukracha, Kajetana Sosnowskiego i innych.

Od wielu lat dzięki energii i zamilowaniu koleżanki Heleny Babiniczowej UL nasz zbiera i zapisuje pieśni i tańce tego regionu. Mamy olbrzymią kartotekę z zapisami. Tu, w naszym UL, uczyli się tańców studenci różnych wyższych zakładów naukowych, a Politechnika Warszawska rozslawiła tańce kieleckie daleko poza granicami naszego kraju, zdobywając np. w Holandii wysokie nagrody.

UL nasz uczestniczył w setkach różnych konkursów recytatorskich, teatrów poezji, amatorskich, wypracował własne małe formy teatralne przy pomocy wielu fachowców. Znamienny jest fakt, że istnieje u nas obyczaj pomagania sobie i liczenia na własne siły. Wielu wychowanków tego Domu ukończywszy studia przyjeżdża tu z cyklami prelekcji. Np. Franciszek Szolot uczy historii sztuki, Marian Pasternak — księgowości, Aleksander Treter — muzyki.

W naszych kronikach, które prowadzimy od 1945 roku, obok słuchaczy, zapisali się wielcy i mali Polacy, nasi przyjaciele z ZSRR, NRD, Czechosłowacji i wielu krajów kapitalistycznych.

Dom nasz odwiedzali: marszałek Sejmu, Czesław Wycech, członkowie Rady Państwa, posłowie, członkowie rządu, I sekretarz KW PZPR towarzysz Wachowicz, którego wystąpienie wywołało głęboki wpływ na licznie wówczas zebranych słuchaczy. Byli tu działacze partyjni, działacze ZSL, nasi przewodniczący Zarządu Głównego, koledzy Tejchma i Bareikowski, ministrowie, uczeni, członkowie Akademii Nauk i wielu innych. Dom nasz odwiedzają licznie chłopci.

Nie do nas należy ocena działalności naszego UL. Śmiemy jednak twierdzić, że była ona ważna, potrzebna i że nasz Dom spełnił swój obowiązek.

Pragniemy w dniu dzisiejszym, w 20 rocznicę jego powstania, wysunąć następujące postulaty. My, najstarsi absolwenci, uważamy, iż obok krótkoterminowych, istniejących form szkolenia, powinien być wprowadzony dwuletni, względnie nieco krótszy, okres kształcenia kadr kulturalno-oświatowych, których brak odczuwamy ciągle w naszym regionie. Ponadto postulujemy, aby rekrutacja do UL przebiegała w ten sposób, by w każdej gromadzie naszego województwa znalazło się dwóch — trzech absolwentów UL. Wreszcie apelujemy, aby wszyscy absolwenci naszego UL przyczynili się do poszerzenia naszego Domu i przystosowania jego pomieszczeń do wszechstronnej działalności.

ZIELONE NURTY

(Dokończenie ze str. 4)

z daleka wolno włókił się wóz chłopski drogą przez łąkę w ich stronę.

— Poczekajmy, dobrodzieju — szeptał wystraszony. — Zaraz tu do nas podciągnie ten wóz. Dobro dziej podjedzie... A teraz proszę wygodnie oprzeć się o mnie. Dobrodziej nie powinien tak w nerwy. Trzeba uważać na lata. Niechże dobrodziej mocniej, jeszcze wygodniej oprze się. — I książd Piotr z niezwykłą delikatnością ogarnął silnym ramieniem plecy proboszcza, podtrzymał go pod łokieć, jak gdyby przyluli do serca.

— Cóż ja bez ciebie pocznę, mój synu? — powiedział z żalem Sobolewski i zadumał się.

Wózek zbliżał się wolniutko poprzez zaspąną, rozleniwioną płaską jak dłoń łąkę, unurzaną w ciepłe słonecznym i w miodowej woni siana. Piotr podniósł rękę do góry i zamachał nią w stronę wóznicy, żeby przyspieszył nieco i podpedził leniwego konika, tak samo zanurzonego w ciepłe tego popołudnia, rozklejającym prężność mięśni i wolę. Widocznie chłop zrozumiał znaki, bo nad grzbietem szkapę mignął raz i drugi bat, i konik ruszył truchcikiem.

— O, zaraz tu podjedzie — w głosie księdza znać było ulgę. — Zaraz usadowimy dobrodzieja na włączce siana. Do plebanii dobry kawał drogi.

Sobolewski uśmiechnął się z wdzięcznością.

— A nie zapomnij, mój synu: ręką trzeba macać kształt świata, aż się wyczuje to nowe, to co przyniesie wszelką odmianę, a wraz z nią odmianę dla naszej ojczyzny. I może to właśnie ten demokratyzm, od Rewolucji Francuskiej biorący początek, może właśnie te ruchy w Rosji, i może to, o czym mówi ta „złota księżeczka”...

Gdy Sobolewski wymienił tę nazwę, ramię księdza Piotra mocniej objęło plecy kaptana, przyluli delikatnie do siebie. Ale nie nie rzekł. Tymczasem wózek zbliżył się na dobre, i już można było poznać furmaną.

— Eee, to przecież stary Tomasz — powiedział z ukontentowaniem ksiądz Bartłomiej.

Stefan Wolski



Siedziba rolniczego Uniwersytetu Ludowego.

W pałacu, który wykorzystywała jedna rodzina, znaleźli pomieszczenie dla pracy twórczej, dla nauki synowie i córki chłopów Kielecczyzny, a później z wielu innych regionów kraju.

Przyszyli nam z pomocą wojskowe władze radzieckie, Ludowy Rząd, Wojewódzka Rada Narodowa w Kielcach, Powiatowa Rada Narodowa w Jędrzejowie, organizacje młodzieżowe, Związek Samopomocy Chłopskiej.

Odtąd w skromnych warunkach, bez mebli, bez łóżek, bez pomocy naukowych rozpoczyna się systematyczna praca dydaktyczna, wychowawcza i społeczna naszej placówki.

Każdy kurs wniósł swój wkład, każdy pozostawił po sobie niebiedną spuściznę.

Już na wiosnę 1945 r. wyrusza nasz UL w wielką podróż po kraju. Mieszkańcy Katowic pamiętają pierwsze słowa polskie, pierwszy polski wiersz, piosenkę ludową, tańce wykonane przez naszych kolegów. Był to niezapomniany dzień, kiedy tłumy górników w najgłębszym skupieniu słuchały pięknej, wiązanej mowy ojczystej, kiedy rozległy się szlochy, a o kilkadziesiąt kilometrów od miasta toczyły się jeszcze ciężkie boje z Wehrmachem.

W kilka dni później ten sam zespół wystąpił w Teatrze Słowackiego w Krakowie przy wypełnionej po brzegi widowni, a wprowadzał nas na scenę nie byle kto: Leon Kruczkowski, który odtąd był najlepszym naszym przyjacielem, opiekunem, promotorem. Do dziś przechowujemy z pietyzmem listy od niego i taśmy z jego wypowiedziami.

Chłonni, twórczo pracujący słuchacze, po przeczytaniu „Weesla” nie mogli pogodzić się z epilogiem. W naszym UL dopisano inne zakończenie dramatu! Odnalezione Złoty Róg i obwożono go odtąd po kraju.

W 1947/48 roku w UL naszym odbył się eksperymentalny kurs zjednoczeniowy pod opieką wszystkich wówczas istniejących organizacji młodzieżowych. Zjednoczeni — wyruszyliśmy wspólnie na historyczny Zjazd do Wrocławia. I zaraz następnie odbyli długą, męczącą, ale jakże twórczą, podróż do wszystkich obozów i skupisk Służby Polsce. Za pracę swoją otrzymali wówczas wszyscy uczestnicy wyprawy złote odznaki tej organizacji. W rok później UL nasz odbył kilkutygodniową podróż do najbardziej oddalonych wsi naszego województwa, by zadziergnąć więź z ludźmi, pomóc im w organizacji pracy na nowych zasadach.

Z głębokim wzruszeniem wspominamy chwile, kiedy to koledzy nasi podjęli walkę z analfabetyzmem w Pawłowicach i wsiach okolicznych, kiedy sami byli nauczycielami, wychowawcami, umieli zdobyć szacunek i sympatię miejscowego społeczeństwa. Wspominamy z uznaniem działalność kolegi Feliksa Robaka, który w naszym imieniu kierował świetnie tą akcją.

Nasi pierwsi absolwenci popieszyli na zew władzy na ziemi zachodniej, zagospodarowali na Żulawach niemalą połać ziemi, są tam do dziś i wolno twierdzić, że dobrze wywiązują się ze swoich obowiązków jako rolnicy i Polacy.

W latach, gdy UL nasz pozostawał pod opieką Związku Samopomocy Chłopskiej, podjęliśmy się trudnego obowiązku szkolenia kadr dla tej organizacji, obok normalnych zajęć w UL. Zjeżdżali wówczas do nas na miesięczne i dwumiesięczne kursy ludzie z całego kraju. Ich rozeznanie na widok naszego skromnego pomieszczenia przeobrażało się z reguły w przywiązanie i szacunek do metod pracy, do treści i form, których dopracowaliśmy się w naszym Domu. Nie inaczej bowiem nazywaliśmy

mochodem, nierzadko i pociągami, nie widział obrazu o tematyce świeckiej.

Nasi słuchacze wstępowali do spółdzielni produkcyjnych, do kółek rolniczych, prowadzą do dziś świetlice, biblioteki, zespoły teatralne, muzyczne, chóralne, taneczne, są w GS-ach, w PZGS-ach, w radach narodowych, nierzadko piastują odpowiedzialne stanowiska w resorcie oświaty, kultury, są w PZPR, w ZSL, w ZMW i ZMS. Są działaczami oświatowymi.

Z posiadanych przez nas materiałów wiemy, iż wśród trzech tysięcy ośmiuset absolwentów ponad 300 ukończyło wyższe zakłady naukowe i ponad tysiąc sześćset średnie zakłady naukowe różnych typów. Wielu ciągle dokształca się zaocznie, nie opuszczając swoich wsi rodzinnych, w których należą do przodujących działaczy politycznych, oświatowych, gospodarczych. Na różnych stanowiskach w szkolnictwie pracują 472 osoby.

W roku 1957, kiedy uniwersytety ludowe przejął Związek Młodzieży Wiejskiej, nasz Uniwersytet Ludowy jeszcze więcej zacieśnił swoją więź z młodzieżą i, trzeba powiedzieć, poszerzył i pogłębił działalność. Dzięki wydatnej pomocy Zarządu Głównego ZMW, dzięki stałej, wnikliwej współpracy z Zarządem Wojewódzkim, który stał się naszym serdecznym przyjacielem, UL mógł wprowadzić nowe formy pracy, pogłębić metody wychowawcze, ustalić więź z inteligencją wiejską. Zaangażował się tu na dwutygodniowych seminariach szkoleń kadry działaczy wiejskich. Jednocześnie absolwenci UL mogli liczyć na pomoc i opiekę, na wiernych sojuszników, na ich zdecydowaną, ofensywną postawę. Poprzez związanie się z ZMW zakład nasz unowocześnił się, zdobył popularność i zaufanie młodzieży wiejskiej, stał się jej potrzebny.

W ciągu dwudziestu lat UL nasz przeżył ciężkie, dramatyczne chwile. Do najcięższych należały niewątpliwie te dnie i tygodnie, kiedy koledzy nasi byli napastowani (w latach 1945/46) przez grasujące bandy, kiedy UL nasz, uchodzący słusznie w ich oczach za twierdzę postępu i nowo budującego się porządku, był atakowany, napadany, rabowany, ostrzeliwany. I później — z różnych okopów wstecnictwa atakowany był słowem, gromiony za postępową myśl, za wieczory świetlicowe, za książkę laicką, ba, nawet za zawody sportowe, w których ośmielali się uczestniczyć koleżanki.

Mieliśmy jednak na przestrzeni tych lat znacznie więcej dni radosnych, pogodnych, niezapomniane, głębokie przeżycia. Poznaliśmy w tym Domu znakomitych twórców kultury radzieckiej, nauczyliśmy się rozróżniać Niemców — przyjaciół od wrogów, pokochaliśmy Czechów i Węgrów, którzy uczyli się tu wraz z nami szanować pracę ludzką.

Od czasu, gdy UL nasz jest placówką ZMW, wprowadzone zostały takie nauki, jak rolnictwo, księgowość z uwzględnieniem księgowości kółek rolniczych, ostatnio zaś i bibliotekarstwo, które prowadzi wysoko kwalifikowani pracownicy Wojewódzkiej Biblioteki. Nie tajmy jednak, że najwięcej jesteśmy przywiązani do wszelkich form pracy kulturalno-oświatowej. Mamy własną, wolno twierdzić, bogatą tradycję na tym polu. Już od 1945 r. UL nasz nawiązał bezpośrednio, trwale kontakty z pisarzami współczesnymi. A więc przede wszystkim z nieodżałowanym Leonem Kruczkowskim, ze Stefanem Otwinowskim, Julianem Przybosiem, Janem Korprowskim, Stanisławem Czernikiem, Włodzimierzem Maciągiem. Spotkania z Władysławem Broniewskim, z Józefem Ozgą-Michalskim, należały zawsze do najpiękniejszych dni w naszym Domu. Dzięki twórczej pomocy tych wszystkich wymienionych i wielu

przez nich załatwienie sprawy. Ten stan rzeczy zakłada, że cały personel biura składa się z ludzi o wysokich kwalifikacjach fachowych i moralnych;

b. Poszczególne biura wykonują powierzone sobie szczególne funkcje na pewnym obszarze geograficznym (właściwość rzeczowa i terytorialna). Zakłada to, że pracownicy biura specjalizują się w odpowiednich dziedzinach administracji i prawa administracyjnego i posiadają szczególne rozeznanie praktyczne.

c. System biur jest zbudowany w ten sposób — w skali kraju i w skali części kraju stanowiącej większość jednostek podziału terytorialnego — że jedne z nich mają szerszą, inne węższą właściwość terytorialną (organy terytorialne), niektóre zaś obejmują swą właściwością całe terytorium państwa (organ centralny). Biura o węższej właściwości terytorialnej i biura o szerszej właściwości terytorialnej znajdują się ze sobą w stosunku podporządkowania — nadrzędności. Dzięki takiej budowie „hierarchicznej” każdy pracownik jest podporządkowany choćby tylko pośrednio (przez swego przełożonego) jednemu zwierzchnikowi. Sprawy toczą się w łożysku pionowym poruszane energią jaką wytwarza stosunek „podporządkowania i nadrzędności”. W ten sposób myśl kierownicza płynąca z góry inspiruje działalność całego „pionu”. Zabezpiecza to jedność i jednolitość myśli kierowniczych leżących u podstaw działalności państwa jako całości. Koniecznym warunkiem funkcjonowania systemu hierarchii jest, żeby pracownicy biura nadrzędnego znali dobrze pracę biura podporządkowanego i vice versa. Bez tego biuro wyższego rzędu nie mogłoby realizować swej nadrzędności, a biuro niższego rzędu nie potrafiłoby skutecznie się podporządkować. Stosunek hierarchiczny zakłada za wodowość pracowników.

d. Słowem, fachowość, fachowość i jeszcze raz fachowość — takie jest podstawowe założenie i konsekwencja każdej cechy systemu administrowania zwanego biurokracją.

3. Materialne zainteresowanie pracą nie stwarza pełnej rejonu sumiennego jej wykonywania. Ale brak materialnego zainteresowania pracą znakomicie obniża sumiennosc wykonawcy. Tej elementarnej prawdy nie zmienia najpiękniejsze slogany. Zaden „system wychowawczy” temu nie zaradzi. Sama wysokość uposażenia i innych świadczeń przywiązanych do pracy nie odgrywa decydującej roli w stworzeniu bodźca, jakim jest materialne zainteresowanie. Decyduje moment życiowego zaangażowania w pracy danego rodzaju. Sumiennym pod wpływem materialnego zainteresowania może być tylko pracownik, dla którego praca danego rodzaju jest celem życiowym — celem końcowym lub choćby przejściowym, ale warunkującym osiągnięcie dalszego szczebla w karierze. Moment materialnego zainteresowania nie powstaje i nie powinien powstawać przy wykonywaniu obowiązków niezawodowych, społecznych. Dlatego stopień sumiennosci pracownika społecznego w wykonywaniu społecznych obowiązków zależy tylko od jego osobistej sumiennosci jako przyrodzonej cechy jego psychiki. Na powstanie tej cechy kierownictwo nie ma żadnego wpływu. Najlepsze administrowanie kadrami zawodowymi pozbawione możliwości stosowania bodźców materialnego zainteresowania nie wytworzy klimatu sumiennosci zespołu. A sumiennosc jednostkowa jako przypadkowa niewiele zdziała organizacyjnie. Zdarza się wprawdzie, że u niezawodowego pracownika powstaje zainteresowanie materialne wykonywaniem pracy wobec pośrednich korzyści, jakie dać może piastowanie mandatu społecznego. Ale ten moralnie ujemny fenomen nie może być oceniony inaczej jak organizacyjnie negatywny.

4. Wykształcenie zawodowe stanowi podstawę tej wiedzy, którą kwalifikujemy jako fachową, ale jest tylko jej początkiem. Na wiedzę fachową składa się także — i to jako jej część bardzo cenna — doświadczenie praktyczne zgromadzone w toku wieloletniej pracy w danym sektorze działalności zawodowej. Taki bagaż wiedzy zawodowej może zdobyć pracownik tylko w warunkach stabilności wykonywanej pracy. Jeśli chcemy przyciągnąć dobrze zapowiadających się kandydatów, je-

O BIUROKRACJI BEZ ZŁORZECZEŃ

śli chcemy ich zatrzymać, stworzyć w administracji „kult kompetencji” i poczucie odpowiedzialności, jeśli chcemy skrócić gromadzić doświadczenie praktyczne — musimy stworzyć takie warunki, żeby służba państwowa była czymś więcej niż źródłem zarobkowania, które się skwapliwie zmienia na inne, gdy trafi się „coś lepszego” — żeby była przedmiotem przywiązania. Warunkiem powodzenia takiej polityki kadrowej jest stabilność pracy. Stabilność nie oznacza nieusuwalności. Wymaga jedynie, żeby status prawny pracownika zawierał gwarancje, że praca, którą wykonuje, jest jego karierą życiową, że nie zostanie zwolniony bezmyślnie lub lekkomyślnie, bez poważnego powodu, bez rozważenia i uwzględnienia jego interesu życiowego.

5.

W procesie wykonywania rządów (jest to pojęcie szersze niż administrowanie, ale obejmuje także tę działalność państwową, którą nazywamy administracją) państwo podejmuje czynności dwojakiego rodzaju. Ustala w sposób ogólniejszy czy bardziej szczegółowy politykę rządzenia i reguluje (normy) zachowania się obowiązujące tak organy państwowe, jak obywateli, w różnorakich stosunkach społecznych, kieruje, kontroluje i nadzoruje przestrzeganie linii politycznej i praworządności przez organy państwowe — nazwijmy te czynności czynnościami rzędu A; załatwia różne sprawy indywidualne lub ogólne zgodnie z linią polityczną i obowiązującym prawem — nazwijmy te czynności czynnościami rzędu B.

Art. 5 Konstytucji proklamując zasadę „udziału mas w rządzeniu państwem” nakazuje, by wszystkie organy państwowe opierały się „w swej działalności na świadomym, czynnym współdziałaniu najszerszych mas ludowych”. Pojęcie „współdziałania najszerszych mas ludowych”, jak słusznie podnosi komentator (Maurycy Jaroszyński: „Zagadnienia rad narodowych”. Warszawa, 1961, s. 132), obejmuje udział w „czynnościach rzędu A”, nie obejmuje zaś „wykonawstwa” — „czynności rzędu B”. Owszem „najszersze masy ludowe” mogą realizować również wykonawstwo w postaci dobrowolnej („czyny społeczne” i „dobrowolna działalność społeczna”), a nawet w postaci (jeśli prawo na to pozwala) pociągania ludności do przymusowych świadczeń. Ale tego rodzaju „współdziałanie najszerszych mas” nie jest objęte ideą udziału mas w rządzeniu państwem. Jest to idea o znaczeniu szczególnym i wielkiej doniosłości, u podstawy jej leży koncepcja narodu jako suwerena, jako źródła wszelkiej władzy. Natomiast wykonywanie administracji przez pracowników społecznych (czynności rzędu B) nie jest realizacją tej idei.

W związku z tą prawdą w aparacie administracji państwowej państwa socjalistycznego są czynne dwie kategorie „pracowników”. Istnieje kategoria pracowników „przedstawicielskich”, tj. reprezentujących społeczeństwo; są to członkowie rad narodowych, członkowie prezydium rad narodowych, członkowie komisji, kolegiów itp.: ich praca jest realizacją „współdziałania najszerszych mas ludowych” w działalności organów administracji państwowej; ich funkcje, które można określić lapidarnie formułką „kierownictwo, nadzór, kontrola”, obejmują właśnie te czynności aparatu państwowego, które opisałem wyżej nazywając je „czynnościami rzędu A”. Są to pracownicy nie zawodowi, społeczni. Obok tych pracowników istnieje rzesza pracowników zawodowych. Nie zastępują oni społeczeństwa, mas ludowych, narodu, nie występują jako ich „przedstawiciele”, nie są członkami organów przedstawicielskich. Są po prostu pracownikami państwa, aparatu państwowego, ściśle — aparatu administracji państwowej związanymi z państwem nie stosunkiem przedstawicielstwa, lecz stosunkiem pracy czy stosunkiem służbowym (jak kto woli). Są to pracownicy wydziałów prezydium rad narodowych i innych podobnych urzędów (biur). Jest to nasza „biurokracja”, jeśli wolno użyć terminu technicznego zapożyczonego z nowo-

czesnej nauki administracji. Są to nasi „biurokraci” potraktowani bez gniewu.

Obie kategorie pracowników istnieją we współczesnym państwie kapitalistycznym. Ale w tym ostatnim urzędnicy zawodowy odgrywa rolę tak dominującą w wykonywaniu funkcji państwowych, pracownik zaś „przedstawicielski” — rolę tak drugorzędną, że w cieniu pierwszego drugi wydaje się zagrożony w niebycie. System rad narodowych ma to do siebie, że oba elementy załogi naszej nawy państwowej — przedstawicielski i zawodowy — istnieją obok siebie i w ścisłym z sobą współdziałaniu, jeden nie przesłania drugiego, ale każdy zachowuje swoją specyficzną sferę działania. Przeznaczenia obu są oceniane jako równie doniosłe.

Słychać jednak żale ze strony czynnych w administracji państwowej pracowników zawodowych. Źródłem rozczarowania nie jest współpraca z elementem przedstawicielskim, ale niedocenianie ich żywotnych interesów jako pracowników — z wielką szkodą dla interesu państwa. To niezadowolenie wywołuje w konsekwencji „płynność kadr” naszej administracji państwowej. Ze bez stałych kadr nie ma dobrej administracji, jest prawdą elementarną. Już w 1958 r. padły w sejmowej komisji spraw wewnętrznych słowa ostrej krytyki poselskiej podnoszące niedostateczność troski o tak cenny element ludzki, jakim są kadry administracji państwowej. Mnożą się ostat-

nio na ten temat wypowiedzi publiczności i dziennikarskie, rzeczowe, spokojne, ale tętniące żywą troską i niepokojem.

Tylko w nielicznych rodzajach służb stosunki pracy zostały unormowane w sposób zapobiegający płynności kadr (sądownictwo, prokuratura, notariat, szkolnictwo wszystkich stopni, kolejnictwo, więziennictwo, Najwyższa Izba Kontroli, Milicja Obywatelska). Główna masa pracowników administracji państwowej pozostaje bez zadowalającej „pragmatyki” (ustawa z 1922 r. mimo wielokrotnej nowelizacji jest niemal całkowicie zdezaktualizowana i obowiązuje tylko formalnie).

Stworzenie nowej pragmatyki odpowiadającej potrzebom państwowym, duchowi czasu i interesom rzeszy pracowniczej nie jest rzeczą łatwą. To prawda. Dla stworzenia takiej pragmatyki trzeba przetrwać dużo sporów teoretycznych, trzeba podjąć kilka rozstrzygnięć trudnych, ale — nie przesadzajmy — nie dramatycznych. Zdobyliśmy się przecież na unormowanie statusu pracowników administracji państwowej w kilku rodzajach służby. Czy nie należy z jakiegoś wysokiego miejsca zachęcić nasze społeczeństwo do szerszej dyskusji, do zajęcia stanowiska w kilku kwestiach kluczowych. Na co właściwie czekamy? Ze brak pragmatyki jest zjawiskiem wysoce ujemnym — zgadzają się wszyscy. Słyszysz się: „poczekajmy na lepszy stan materiału ludzkiego w naszym aparacie”. Czy ten moment, którym niektórzy usprawiedliwiają zwłokę w stworzeniu pragmatyki, nie jest skutkiem braku pragmatyki? Czy aby nie dlatego nie możemy być dumni z wartości naszych aktualnych kadr urzędniczych, że nie zaprowadziliśmy dotąd pragmatyki, zapobiegającej płynności kadr? A przecież robiliśmy już rzeczy trudniejsze.

Emanuel Iserzon

Kłopoty i radości sekretarza

(Dokończenie ze str. 2)

ce w dużym stopniu uniezależniliśmy się od pogody, a to właśnie jest celem rolnictwa. W najgorszym, jeżeli chodzi o pogodę, roku spadły plony tylko o 1,5 q/ha. Rzecz wyjątkowa nawet w skali krajowej. Rozszerzamy znacznie uprawę truskawek, z których słynie nasz powiat. W okolicach Baranowa pierwsze rozsady ludność niszczyła, nie wierząc w opłacalność uprawy. Teraz wciąż proszą o nowe.

— Jak oceniacie rolę instytutów? Nie chodzi mi o ich osiągnięcia naukowe — one są bardzo duże i doceniane przez wszystkich. Ale o udział ich pracowników w życiu społecznym i kulturalnym miasta. Były na ten temat duże kontrowersje, zarzuty, że izolują się.

— Istotnie, przez pewien czas instytuty zamknęły się w sobie. Ale nie dlatego, że same tak chciały. Po prostu tutejsze władze chciały od nich zbyt dużo. I nie tego, co trzeba. Naukowiec nie kończy swojej pracy o trzeciej. Nie każdy z nich umie przemawiać do chłopów, uczyć ich bezpośrednio lepszej uprawy ziemi. Ponadto trzeba im dać czas na pisanie, czytanie, myślenie. Teraz już zdajemy sobie z tego sprawę i wzajemne stosunki układają się coraz lepiej, wielu naukowców bierze bardzo czynny udział w naszych sprawach. Szkołą agronomów, a ci już prostym językiem przenoszą wiadomości na wieś. Myślę jednak, że w upowszechnianiu zdobytych naukowych trzeba jeszcze zrobić dużo więcej.

— Jak wygląda realizacja trójkąta turystyczno - wypoczynkowego Kazimierz — Nałęczów — Puławy?

— Ani pięknego Kazimierza, ani uzdrowiska należycie reklamować nie potrzeba. Z trójkąta wypadły jednak Puławy. Kombinat chemiczny okazał się ważniejszy. Jeżeli chodzi o dwa pozostałe miasta, z uchwały władz wojewódzkich wykonano bardzo niewiele. Naszego powiatu nie stać, aby własnymi siłami wykonać chociaż połowę planowanych inwestycji. A Nałęczów bez wodociągów i kanalizacji nie będzie nigdy dużym uzdrowiskiem. W Kazimierzu wodociąg jest, ale kanalizacji wciąż brak. Chcemy tam wciągnąć Azoty jako współdziałalca. W tej chwili w obu miasteczkach przeprowa-

dzamy szereg mniejszych inwestycji, np. w kamienicze celejowskiej po odbudowie urzędzimy muzeum kazimierzowskie. Dużo robi sama ludność w czynach społecznych, ale to nie wystarczy.

— Właśnie: czyny społeczne. Jak wygląda u was realizacja programu „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej”?

— Jesteśmy raczej zadowoleni. Szczegółowo podadzą wam w Powiatowej Radzie Narodowej. Ja chciałbym dodać, że proponujemy władzom wojewódzkim zmianę regulaminu. Tak to bywa, że najlepsze hasło, najlepsza myśl, za biurkiem nieco się wykrzywia. Regulamin daje punkty za różne rzeczy, każdy oczywiście chce mieć najwięcej punktów. Są więc punkty za uruchomienie świetlicy, za posadzenie lasu. A jak już jest jedna świetlica, to czy dla zdobycia punktów budować drugą? Gdy ziemia jest dobra, pszenica, czy warto sadzić drzewa? To byłoby nonsensy. Ale za punkty można dostać milion lub pół miliona złotych nagrody. To nęci i łatwo zrobić głupstwo. Ponadto małe wsie, mające mniejsze potrzeby i możliwości, są tu jakoś pokrzywdzone. Proponujemy więc kilka zmian, aby wszystkim zapewnić równy start, aby wyzwolić prawidłową inicjatywę u wszystkich.

(dost)

KAZIMIERZ EUGENIUSZ STESZUK

gdy zmierzchu godzinę wydzwoni czas

na tarczy mego serca
nocy ciemna otchlań
zatrzaśnie
bramę życia

chłodna dłoń śmierci
położy w firanki powiek
grudkę ziemi

runie na trumnę sosnową
gorący ciężar światła
i zamkną się żaluzje
nad moim życiem

ziemia
która pieściła moje stopy
i którą słałem w wierszach
strefach
stanie się domem spoczynku
domem pośmiertnym
poety

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

W CAŁYM kraju rozpoczęły się uroczyste obchody 20-lecia Polski Ludowej. W obchodach tych aktywny udział wezmą rzeszowskie placówki, organizacje i środowiska kulturalne. Ideą przewodnią planów związanych z dwudziestolecie jest ukazanie bogatego dorobku, jakim szczyści się obecnie nasze województwo, nie bez przyczyny zaliczane kiedyś do obszarów najbardziej zacofanych.

W okresie dwudziestolecia dokonał się w Rzeszowskim ogromny rozwój gospodarki, w znacznym stopniu zmienił się wygląd wsi, powstały zupełnie nowe gałęzie przemysłowe, wspomniemy tu chociażby znany doskonale nie tylko w kraju, ale i w świecie tarnobrzeski kombinat siarkowy. W nowych i rozbudowanych ośrodkach przemysłowych znalazło zatrudnienie wiele tysięcy zbędnych na wsi ludzi.

Procesom gospodarczego wzrostu towarzyszył zawsze, chociaż nie wszędzie w stopniu zadowalającym, systematyczny proces rozwoju kulturalnego i społecznego. Zaspokojeniem potrzeb w tym zakresie zajęły się powołane do życia — w wielu wypadkach po raz pierwszy w dziejach naszych ziem — instytucje i placówki kulturalne. Najstarszym rodowodem legitymuje się tutaj przede wszystkim teatr rzeszowski, założony wkrótce po wyzwoleniu Rzeszowa, w listopadzie 1944 roku i dający pierwsze przedstawienia przy akompaniamencie odległego za ledwie o kilkadziesiąt kilometrów frontu. Początki jego pracy wiążą się z nazwiskiem znakomitej polskiej aktorki,

Wandy Siemaszkowej, która ostatnie lata swego życia poświęciła ugruntowaniu podstaw teatru działającego w nowym środowisku, środowisku znającym sztukę sceniczną jedynie ze sporadycznych wizyt przyjezdnych zespołów i własnych tradycji teatru ochotniczego.

Jest rzeczą znamienią, że mimo rozlicznych trudności, jakie piętrzyły się wówczas przed władzą ludową, jedną z pierwszych, jakże ważnych decyzji, było stworzenie własnego teatru. Znalazły się wówczas środki niezbędne do uruchomienia pierwszej w dziejach tej części kraju sceny zawodowej. Dzięki czasowemu napływowi wielu wybitnych przedstawicieli świata artystycznego powstało studio teatralne, w którym stawiali pierwsze kroki twórcy tej miary, co Kazimierz Dejmek, czy Adam Hanuszkiewicz.

Dwudziestolecie swej pracy, którą charakteryzuje mimo pewnych zahamowań stale zacieśniająca się więź ze społeczeństwem, systematyczny wzrost liczby widzów, uczył teatr uroczystą premierą „Wesela” Wyspiańskiego, arcydzieła dramaturgii narodowej, którego wystawieniem teatr rzeszowski rozpoczął swą działalność jesienią 1944 roku.

Przygotowana zostanie również specjalna publikacja zawierająca materiały z dwudziestolecia teatru. Pod tym kątem obchodzony będzie również tegoroczny, przypadający na 25 marca Międzynarodowy Dzień Teatru. Po

(Dokończenie na str. 12)

P I Ł Ą KWIATÓW

(Dokończenie ze str. 3)

ych chłopów było niewiele, nie można więc traktować ich zajęcia jako „wypadkowej obyczajowej”, po drugie — adres ich produktu, jeśli istniał poza obszarem szafy, nie leżał na terenie wsi, po trzecie — w twórczości tej zbyt wyraźne jest korzystanie z wzorów zaczerpniętych z lektury, niezależnie od tego, jak niekiedy skąpej.

Tak więc pióro, poetyckie pióro w rękę chłopu było — jak w każdym wypadku — narzędziem wypowiedzenia dopominających się wyrazu uczuciowych treści, dowodem dążności do społecznego awansu, a nie — czynnikiem wytwarzania wartości folklorystycznych. Jeszcze jedna ważna okoliczność: anonimowość. Na ogół ludowy artysta, ten obywatel zainteresowaniem etnografa, puszczając w obieg wytwory swojej pracy nie uwidaczniał na nich śladu swojej osobowości, lecz co najwyżej regionu. Nie możemy zaś mówić o poezji np. Gutanowa, jak, powiemy o garnce Ląka Ordynackiego. Możemy — indywidualnie o Pietraku.

Nie bez powodu następcą się tu wyłączenie czas przeszły. Ludowe piśmiarstwo będąc wynikiem cywilizacyjnego zacofania zanika. Raka, Kurasia, Antka z Bugaja można było zamknąć w rezerwacie „siernięj” kultury chłopskiej budzącej zainteresowanie ze stanowiska bardziej socjologicznego niż artystycznego. Nie można — Mortona, czy Turka. Są po prostu piśmiarzami polskim niezależnie od wiejskiej tematyki swych utworów. I przyszłe pokolenie chłopskie — zresztą przez migrację i postęp cywilizacji dość niewyraźne w swym przekroju demograficznym — nie sięgnie już po problematykę, poetykę, środki wyrazu swych ojców i dziadów po piórze. Nie można przyjechałszy SHL-ka ze świetlicy, gdzie się oglądało ostatnią „kobrę”, siadać do pisania wiersza o zabiłaknym smutku owianym mgłą jesienią. To młode pokolenie chłopskie albo weźmie na warsztat problematykę polską, problematykę nie ograniczoną opłotkami „sił”, albo nie będzie pisało wcale. Oszczędzony mu zostanie przeskoczyć z minionej formacji ekonomicznej w spóźnioną współczesność wczorajszych poetyk.

Także — trud zdobywania literackiej kultury. Książka, prasa, szkoła były na ogół niedostępne przedstawicielom starszego pokolenia, tak więc

zdobywanie umiejętności wyrażania stało się dodatkową „techniczną” pracą. Nie zawsze też następowało wyraźne rozgraniczenie między słowem poetyckim a słowem literackim. Tym się tłumaczy wiele spotykanych „prozaizmów”. Oczywiście — termin ten należy obwarować cudzym słowem. Prozaizm, czyli niewystarczająca „poetyckość” w wierszu, sztampa, czyli posłużenie się gotowym i zużytym zwrotem mogą być deprecjonujące wytknięte w utworach zobowiązanych do pewnej poprawności formalnej. Inaczej rzecz się przedstawia w wypadku twórczości „samorodnej”. Tu nastąpił wysiłek poszukiwania słowa niejako od zera punktu kontaktu z językiem, bez tej pomocy, jaką daje wykształcenie, czy środowisko. Kiedy więc mamy w wierszu „Późno dziś żałować | życia swojej wiosny, | nie wróci, nie wróci | czas uniesień wzniosłych” (Władysław Kuchta: „Nie wróci”) ten „czas uniesień wzniosłych” jest niewątpliwie zapamiętany subiektywną treścią niezależnie od tego, że obiektywna statystyka wyeliminowała zwrot z szeregu określeń znaczących.

Przyznać trzeba, że zdarzają się nieporadności nie dające się wytłumaczyć pokonywaniem dystansu do języka. Mimo owych podkreślanych uwarunkowań trzeba ujrzeć wyraźne kiki. Np. „Żebyś wiedział, chłopie bracie, | Jaką siłę masz, | To byś zaraz w swojej chacie | Plunął zdracjom w twarz”. (Józef Kapuściński: „Żebyś wiedział”). Pewnie, że „chatę” można tu bronić jako „kraj”, ale niezależnie od tego żona i dzieci poczuły się raczej nieswojo.

Na ogół wiersze poetów ludowych pisane są regularną strofą, co specjalnie jest widoczne w wypadku Bronisława Pietraka, który zresztą z większym powodzeniem niż lirykę uprawia satyrę, ale zdarzają się również utwory o szerszej potoczności frazy, nie jako inklinujące w stronę poematu prozą. „Ja piszę swoje wiersze prostą, codzienną, matczyną mową, | twarzą od trudu, | sękatą bólem, ale pełną ciepła i słońca, | mową, którą poznawał dorywczo w chacie, na łące, przy żniwie, w polu — | tylko wykrzykniki stawiam niby wielkie słupy ognia z gniewu ojca...” (Jan Poceek: „Matczyną mową”).

Mimo rozsiągniętych tu i ówdzie uśmiechów i zadzierzystości, chłopka poezja nie jest optymistyczna. Dominuje w niej tonacja minorowa. To jeszcze jeden z pogłosów minionej czasu, który kazał się zmagać z oporem nie tylko słowa, ale i życia.

Pnę się wciąż wyżej i wyżej
Po gwiazdę jasną:
Pewnie zawisnę na krzyżu
I zgasną...

(Dokończenie ze str. 7)

dzy Zamość w dniu 2 maja 1832 roku z Domicelli z Kwasiborskich lat 38 mającej. Świadcami są: Michał Pawłow, audytor 3-ej Artyleryjskiej Dywizji W. Ros., i Antoni Vallerne.

Anastazy-Franciszek, założyciel aktorskiego klanu Trapszów — w Lublinie również chrzcił swoje dzieci z Anny Eugenii z Cwiklińskich: Marceloju ur. 15.XII.1860 r. w Warszawie, Stanisława, ur. 8.V.1862 r. w Warszawie, oraz Irenę ur. 1868 r. w Kallszu.

Jak wiemy, Marcell był ojcem Mieczysława, występującego pod panieńskim nazwiskiem swej babki Cwiklińskiej, a więc sławnej, naszej Mieczysławy Cwiklińskiej.

Krześińscy. Z tej rodziny najbardziej związany był z Lublinem Stanisław (1810—1902), aktor, reżyser, dramaturg, malarz dekoracji i kronikarz scen prowincjonalnych oraz autor ciekawych pamiętników pt. „Koleje życia”, gdzie znajdujemy opis Lublina XIX wieku.

W bibliotece im. Łopacińskiego w Lublinie (zbiory specjalne) znajduje się rękopiśmienny oryginał umowy o pracę Stanisława Krześińskiego w teatrze pod dyr. J. Pfeiffera, którą jako ilustrującą ówczesne stosunki teatralne, poniżej przytaczam z zachowaniem pisowni oryginału:

„Między P. Juliuszem Pfeiffer Dyrektorem Teatru,

A

Panem Stanisławem Krześińskim Artystą Dramatycznym zawartą została umowa pod warunkami

1. Pan Pfeiffer angażuje Pana Stanisława Krześińskiego jako Artystę Dramatycznego od dnia 27 sierpnia 1843 roku do tegoż dnia 1844 roku.

2. Pan Krześiński obowiązują się na czas i miejsce przez Dyrektora wskazane stawić się bez zawodu furmanką na koszt Pana Pfeiffera.

3. Poddaje się rygorowi straju za nieregularne dopełnianie poruczonych jako artysty obowiązków.

4. Pan Pfeiffer zapewni gaży Panu Krześińskiemu złoty Ośmdziesiąt i od każdej Reprezentacji Rubel srebrny — tudzież benefis cały na 2-ie raty jedną w lecie, drugą w zimie.

5. W dalszym czasie gdy usiłowania Pana Krześińskiego będą niezadowolonymi, przyrzeka Pan Pfeiffer podwyższyć stosunkowo gażę ocenienie czego sobie pozostawiając.

Kontrakt obecny po rozważnem odczytaniu obidwie strony dobrowolnie przyjęły i podpisały.

Kalisz dnia Dwudziestego Siódmego Sierpnia tysiąc ośmset czterdziestego trzeciego Roku.

(—) J. Pfeiffer

(—) Stanisław Krześiński

W Lublinie Stanisław Krześiński chrzcił swych synów o oryginalnych imionach: Maureliusza-Chromisława w r. 1851 i Apoloniusza-Gościława w r. 1853 oraz w r. 1861 córkę Eufemię-Marię, przy tym ostatnim akcie jako świadkowie występujący znany ówczesny dyrektor teatru Paweł Ratajewicz i aktor Józef Kwieciński.

Stanisław zmarł w wieku lat 92 w Warszawie dn. 12 lipca 1902 r. (akt zgonu nr 377 w par. św. Aleksandra w Warszawie), mieszkając przy synu Michała Krześińskim, malarzu ówczesnych pałaców cesarskich w Łazienkach.

Jeden z synów Stanisława — Miroslaw, współtwórca kurtyny i dekoracji nowego wówczas teatru przy obecnej ul. Narutowicza, zmarł w Lublinie w r. 1897. „Gazeta Lubelska” z 1 marca tegoż roku poświęca mu wspomnienia, a 3 marca podjękowanie artystom za śpiew nad grobem i za udział w pogrzebie składa Ludomir Krześiński z Odessy.

W Lublinie również zmarła w r. 1899 żona Stanisława — Aniela Klara z Zegarkowskich Krześińska (akt zgonu w par. św. Pawła w Lublinie).

Ładnowscy występują w latach 1821—1827 w osobie Rocha Ładnowskiego, poborcy, administratora młyna w Lublinie, a w końcu leśniczego i jego żony Joanny z Przepalkowskich, przy chrzcie ich dzieci.

Choć krople krwi mi pocieką,
Do drzewa się znijdę:
Do gwiazd mi za daleko,
Do krzyża bliżej...

(Stanisław Buczyński: „Krzyż i gwiazdy”)

Lublin jest chyba ostatni, co tak poloneza wodzi samorodnej, ludowej, chłopskiej poezji. Dobrze się też stało, że tymi książeczkami utrwalone zostało jej oblicze, zanim przyszłe pokolenia podejmą inny ton i rytm.

Zygmunt Mikulski

ZWIĄZKI RODZINNE AKTORÓW POLSKICH

W roku 1837 syn Rocha Aleksander Ładnowski, lat 22, aktor, chrzcił córkę Rozalię, ur. w Lublinie dn. 6.II.1837 r. z Rozalii z Brzozowskich. Alojza Ładnowska, (1832-1914), siostra Aleksandra, jest żoną Mikołaja Bucholtza.

Romuald Gierasziński urodził się w Lublinie dnia 6.II.1835 r. jako syn Stanisława, funkcjonariusza sądowego, i Lucyny z Klimkiewiczów, przy akcie chrztu obecni urzędnicy sądowni Aleksander Krzywdziński i Wincenty Drob.

Znajdujemy również w r. 1870 akt ślubu Stanisława Gieraszińskiego i Lucyny Klimkiewiczówny, przy czym nowo zaślubiony jest wówczas strażnikiem doходу tabacznego m. Lublina. Świadców tego aktu Piotr Gierasziński, ojciec Stanisława, nauczyciel szkoły początkowej w Opolu, i Aleksander Barszczyński, archiwista Sądu Poprawczego w Lublinie.

Podpisują się tak Stanisław, jak i Piotr „Gierasziński”, chociaż w aktach spotykamy obie pisownie.

Aleksander-Gustaw Zelterowicz urodził się w Lublinie dnia 14 sierpnia (nowego stylu, jaki zawsze podaje) 1877 roku, jako syn Aleksandra (syna Maksymiliana) Zelterowicza, komisarza sądowego i Bronisławy z Rydzewskich. Świadcami aktu chrztu byli Feliks Wysokiński, właśc. domu zam. w Warszawie, i Ignacy Arciszewski, ziemianin, zam. we wsi Uściłmowie gub. siedleckiej.

Aleksander Kazimierz Bucholtz, artysta dramatyczny, lat 30, ur. w Lipnie, gub. płockiej, zam. w Lublinie przy ul. Jeżuckiej, syn Mikołaja i Alojzy z Ładnowskich, w dniu 12.XI.1884 r. zaślubił Pelagię Augustę Franke z Poznania, również artystkę dramatyczną, lat 26 mającą.

Świadcami są Julian Grabiński, dyrektor towarzystwa dramatycznego (tak zwano wówczas aktorskie zespoły objazdowe i ogródkowe), i Ludwik Syckiński, artysta dramatyczny.

W następnym roku znajdujemy akt chrztu dzieci Bucholtzów, bliźnięt Leon i Jadwigi. Rodzicami chrzestnymi są: znany lekarz lubelski dr Gustaw Doliński i Marianna Pospiszył oraz Franciszek Hovorka, literat z Pragi czeskiej, i Róża Dolińska.

Leon Uznański, artysta dramatyczny lat 24, kawaler, w r. 1840 zaślubił wdowę Mariannę Dąbrowską, również aktorkę.

Świadcami są: Jan Jankowski, art. dram., i Wincenty Czarski, nadzorca teatru.

Anastazy Tomaszewicz, lat 28, „artysta sztuk dramatycznych” w r. 1835 chrzcił córkę Emilię Malwinę; jako świadkowie asystują aktorzy Wincenty Ubysz i Ignacy Słowikowski.

Adam Roman Czartoryski, artysta dramatyczny, wdowiec, lat 25, syn Jana Seweryna i Franciszki Katarzyny z Mroczkowskich, urodzony w Warszawie (par. św. Krzyża), a za mieszkał w Lublinie, w dniu 7.III.1880 roku zaślubił Martynę Emilię Myśliwską, pannę, lat 19, urodzoną w Warszawie. Świadcami są artyści dramatyczni Bronisław Syciński i Bolesław Marecki.

W roku 1847 spotykamy akt ślubu Macieja Zawadzkiego i Teresy Knake c. Ferdynanda i Amalii z Elsnerów.

Przyпускаjąc, że są to rodzice Stanisława Knake-Zawadzkiego.

Na zakończenie, z uwagi na osobę Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej, chcę wspomnieć o akcie chrztu Matyldy Karoliny Sygietyńskiej, córki Karola Sygietyńskiego, inspektora skarbu publicznego województwa lubelskiego. Ceremonia ta odbyła się dn. 4 września 1819 r. w asystencji wyższych urzędników skarbowych Józefa Pruszyńskiego i Jana Boczarzkiego.

By już wyczerpać spotkane dotychczas przeze mnie nazwiska związane z teatrem, wkraczam w wiek XX. W roku 1902 w Lublinie biorą ślub pochodzący z Plockiego Karol Lindorf i Anna Waśniewska, rodzice Zofii Lindorf-Węgrzynowej.

Wydobując te nazwiska z pyłu archiwalnego chciałbym przypomnieć, że aktorzy tych czasów — okresu zaborów, byli głosicielami języka polskiego i kultury polskiej, żywym słowem i publicznie, a więc zajmowali wyjątkowe stanowisko w społeczeństwie.

Jerzy Zaremba

WLANCUCIE opowiadają, że kiedy mieszkańcy Rzeszowa wybierają się za granicę i pragną tam wyhumaczyć, gdzie leży ich miasto, mówią: „no w Polsce, koło Łańcuta...” i w ten sposób się dogadują. Bo Łańcut, posiadający Zamek—Muzeum i drugie w Europie poza Moskwą muzeum powozów, znany jest wielu turystom zagranicznym. Jeśli zaś chodzi o turystów krajowych, to co roku zjeżdża ich do Łańcuta około dwustu tysięcy.

Turystyka jest dużym dopingiem dla gospodarzy Łańcuta przy dokonywaniu poczynąń upiększających miasto. Nie turystyka jednak decyduje o rozwoju miasta. Zmiany do łańcutckiego krajobrazu miejskiego wniósł przede wszystkim przemysł, a głównie nowa, zbudowana od podstaw w latach pięćdziesiątych Fabryka Śrub. Fabryka ta, dając zatrudnienie kilku tysiącom osób, wpływa miastotwórczo na rozwój siedziby powiatu.

Z OSIEDLA — DZIELNICA

Przed wszystkim uruchomienie fabryki pociągnęło za sobą konieczność budowy osiedla przyzakładowego. Zbudowano około dwudziestu jednopiętrowych domków na dawnych gruntach hrabiego Potockiego. A kiedy zamieszkali w nich pracownicy fabryki, gospodarze miasta doszli do wniosku, że przecież zostało jeszcze miejsca dla wielu dalszych budynków. Tylko pieniędzy na ten cel nie było.

Zaczęto więc debatować i postanowiono rozdać darmo działki budowlane tym, którzy zechcą postawić na nich domki jednorodzinne. Decyzja Miejskiej Rady Narodowej chwyciła. Znaleźli się chętni robotnicy z Fabryki Śrub, z przemysłu spożywczego, z różnych instytucji łańcutkich, a nawet mieszkańcy z odległego o pół godziny jazdy autobusem lub pociągiem Rzeszowa. Tym chętnym rozdano dwieście działek budowlanych, poparto ich budowy kredytami państwowymi i w efekcie Łańcut zyskał nową dzielnicę, a zarazem jedno z największych w województwie rzeszowskim osiedli domków jednorodzinnych.

Ale choć nowa dzielnica jest dumą ojców miasta, to ich marzeniem była przebudowa i rozbudowa śródmieścia. Po prostu chcieli, aby ich miasto pozbyło się przedwojennych ruder na rzecz nowych bloków mieszkalnych. Wszelkie starania o budownictwo mieszkaniowe z budżetu państwa nie odnosiły jednak skutków: „Łańcut przecież — argumentowano w województwie — otrzymał nową fabrykę i nowe osiedle przyzakładowe. Jak na małe miasto, to i tak wiele”.

Tak było do roku 1958, kiedy Komitet Powiatowy PZPR przystąpił do realizowania, zgodnie z uchwałami Komitetu Centralnego, nowej polityki mieszkaniowej. Na zwołanej naradzie kierowników wszystkich łańcutkich instytucji gospodarczych i administracyjnych oświadczone: „Jeżeli będziemy czekać, aż państwo nam wybuduje mieszkania w Łańcutcie, to możemy się tych mieszkań w najbliższych latach nie doczekać. Dlatego trzeba założyć spółdzielnię mieszkaniową. I to zaraz. Na tym zebraniu”.

Okazało się jednak, że chętnych do spółdzielni mieszkaniowej nie ma, choć nawet wśród obecnych wielu czekało na mieszkania. Wtedy sprawę założenia spółdzielni mieszkaniowej postawiono jako zadanie partyjne i spółdzielnia powstała. Dziś opowiada się o tym, jak anegdota. Bo nie ma takich, którzy chcieliby spółdzielnię mieszkaniową opuścić.

BUDOWNICTWO WYSOKIE

Spółdzielnia rozpoczęła pracę z dużymi oporami. Już w pierwszym okresie okazało się, że w śródmieściu nie ma wolnych placów. Znalazł się wreszcie jeden plac, ale w Miejskiej Radzie tak wikłano sprawę jego przekazania spółdzielni, że aż zainteresował się tym Komitet Powiatowy Partii. A ponieważ Łańcut jest mały — udano się na miejsce, na wizję lokalną. I co się okazało? Placem pod budowę był duży sad owocowy, bezpieczny i nie ujęty w żadnym inwentarzu. Pracownicy Miejskiej Rady Narodowej co roku zbierali darmowe jabłka, rozdzielali między siebie i teraz trudno było im się pogodzić z myślą, że odbiera się im „ich” sad.

ŁAŃCUT od strony miasta

JERZY POPOW

Do tej pory wybudowano w Łańcutcie mieszkania spółdzielcze dla ponad stu rodzin i uważa się to za pierwszy etap przebudowy śródmieścia. Etapem drugim jest wyburzenie małych domków i zbudowanie nowego centrum — bloków dla czterystu rodzin, kosztem czterdziestu milionów złotych. Oczywiście na te miliony składają się głównie kredyty państwowe dla członków spółdzielni, ale ciężar budowy bierze na siebie w całości spółdzielnia mieszkaniowa. Jak na małe miasto, plan jego rozbudowy jest porywający, a co istotniejsze, nie tylko realny, ale wprowadzany już w życie.

Nie więc dziwnego, że działacze rad narodowych z sąsiednich powiatów przejeżdżając przez Łańcut nie mogą się nadszwić zmianom, jakie tu zachodzą. Bo niby miasto tak samo małe, jak ich własne, niekiedy nawet mniejsze, a rozmach budowlany wielki. Pytają wtedy: „Co się u was dzieje, że się tak budujecie?” I nie bardzo wierzą, że w to wszystko mieszkańcy Łańcuta angażują własne pieniądze...

Jeżeli rozwój przemysłowy i budownictwo mieszkaniowe są przedmiotem dumy mieszkańców miasta, to najwięcej utyskiwań jest na życie kulturalne. Mała sala teatralna Zamku wykorzystywana jest wprawdzie na spektakle teatru przyjeżdżającego z Rzeszowa, ale są to przyjazdy rzadkie. Natomiast nie ma żadnego obiektu, w którym koncentrowałoby się życie kulturalne. Miejsce kino uruchomione w budynku przedwojennego „Sokoła” i traktowane z konieczności jako Dom Kultury, uważa się tu za „najgorsze w Polsce”. Trudność w przebudowie tego obiektu polega na tym, że jego adaptacja na Dom Kultury przekracza wartość całej budowl.

DOM KULTURY — MARZENIEM

Mieszkańcy Łańcuta uważają jednak, że w ich mieście, jako siedzibie powiatu, Dom Kultury jest konieczny. I to nie dlatego, że wtedy dopiero rozwinię się życie kulturalne, lecz właśnie dlatego, że cała dotychczasowa działalność kulturalna nie mieści się już w dotychczasowych ramach lokalowych. Tak na przykład w trudnych warunkach pracują dwa ogniska muzyczne, zespół „Lutnia” ćwiczy w domach prywatnych, a zbiory muzeum judaistycznego i zabytków polemkowskich nie oglądają światła dziennego z braku lokalu do ich ekspozycji.

Poza tym w zimie nie ma gdzie słuchać koncertów czternastu wiejskich orkiestr dętych, grających często wspólnie, pod jedną batutą, nie ma też gdzie oglądać występów zespołu tanecznego „babei i dziadków” z Krzemienicy. A zespół ten był zaproszony przez „Mazowsze”, które fragmenty „Wesela Krzemienieckiego” pragnęło włączyć do swojego repertuaru.

Wszystko więc przemawiało za tym, aby w Łańcutcie powstał Dom Kultury i do budowy takiego obiektu przystąpiono w czynnie społecznym. Kiedy była już lokalizacja i dokumentacja, kiedy pracownicy różnych instytucji opodatkowali się na rzecz budowy Domu Kultury, a zakłady pracy zadeklarowały pomoc w transporcie i sprzęcie, wtedy okazało się, że to wszystko jeszcze nie wystarczy, aby wybudować piękny Dom Kultury za ponad dziesięć milionów złotych.

W tej sytuacji zwołano do Komitetu Powiatowego kierowników wszystkich zakładów pracy i wspólnie z członkami Prezydium Powiatowej Rady Narodowej zaczęto zastanawiać się, co robić dalej. Bo ludzie denerwują się placąc na Dom Kultury, którego nie ma.

Uczestnicy tej narady zdecydowali nie rezygnować z budowy Domu Kultury mimo braku pomocy z zewnątrz. Postanowiono kontynuować budowę Domu Kultury etapami przez kilka lat. Było to moralne poparcie dla Komitetu Budowy Domu Kultury. Poza tym doszło jeszcze poparcie materialne. Fabryka Śrub zadeklarowała pół miliona złotych, a inne zakłady pracy postanowiły utrzymać opodatkowanie pracowników na rzecz kontynuowanej budowy Powiatowego Domu Kultury.

CZYN XX-LECIA

Taki jest obraz radości i kłopotów społeczeństwa łańcutckiego, przy rozbudowie własnymi siłami ich miasta. Rok 1964, jako rok XX-lecia Polski Ludowej, postanowili oni upamiętnić czynami społecznymi na skalę w mieście nie znaną. Już teraz w czynie społecznym rozbudowują Liceum Ogólnokształcące. W dodatkowo uzyskanych salach znajduje miejsce zorganizowane rok temu Technikum Medyczne. Już teraz przystępują do budowy pomnika na cześć wojowników o wolność. Odsłonięcie nastąpi 22 lipca. Wiosną przystąpią do naprawy nawierzchni ulic, aby za pieniądze przeznaczone na wyasfaltowanie jednej — naprawić nawierzchnię kilku ulic. Działają też w Łańcutcie komitet gazyfikacji miasta i komitet budowy jednej dużej kotłowni dla wielu małych instytucji i nowego osiedla.

Co roku, pan T. Glac, wielki miłośnik róż, wchodzi do pokoju pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego w Łańcutcie i kładzie milcząco wspaniały bukiet najładniejszych kwiatów. Jego hobby też służy miastu — sprzyja rywalizacji w upiększaniu ogródków przydomowych w konkursie „Łańcut miastem zieleni i kwiatów”. Ten bukiet ma wymowę symbolu.



Łańcut. Zamek—Muzeum. Galeria rzeźb.

PISANKI

ZYGMUNT CIESIELSKI

JAKO jest często stosowanym akcesorium w magii i wierzeniach wielu ludów. Wiąże się to z powszechną wiarą w skondensowaną w jajku energię życia, która może przechodzić na każdego, kto się z nim zetknie. Oczywiście najłatwiej przez spożycie. Jajo występuje w szeregu praktykach różnych ludów związanych z noworodkami i ze zmarłymi, a także uczestniczy w praktykach leczniczych i związanych z obrzędami wiosennymi w cyklu dorocznym. Spotyka się je także w praktykach związanych z wegetacją.

Rola jajka w magii spowodowała zapewne, że zaczęto je zdobić, być może początkowo przez pokrywanie skorupki jaj znakami o charakterze symboli magicznych. Takie zdobione jaja występują do dziś w okresie świąt wielkanocnych i są znane pod nazwą pisanki lub kraszanki.

Tradycje pisania (zdobienia) jaj są bardzo stare na ziemiach polskich, bo sięgają ok. 1000 lat. Znane są z wykopisk w Końskim, Opolu, Sutlejsku,

Brześciu Kujawskim i są datowane na X—XIII wiek.

Tradycje pisankarskie mimo tendencji zanikania są na terenie województwa białostockiego jeszcze dosyć żywe. Szczególnie w powiatach suwalskim, augustowskim, sejneńskim, siemiatyckim, lapskim i białostockim.

Wykonywane na terenie województwa białostockiego pisanki występują w zasadzie w dwóch zasadniczych typach, mianowicie wykonywanych techniką batikową (pisanie piaskiem lub szpilką) oraz tzw. skrobanki, gdzie wzór wykskrobuje się na jednolicie ubarwionej powierzchni ostrym narzędziem (końcem noża, igłą itp). Wzory bywają rozmaite. Na północy przeważają ornamenty składające się z niewielkich przecinków w kolorze skrobki jajka na jednolitym, często czarnym tle (tzw. suwalskie czarne kruki), w siemiatyckim natomiast wielobarwne pisanki o linearnym ornamentem. Nie miejsce tu na dokładne opisy spotykanych ornamentów i motywów zdobniczych, warto natomiast wspomnieć, że obok tych tradycyjnych ornamentów pojawiły się w ostatnich latach tematy nowe, często nawiązujące do aktualnych wydarzeń. Pojawiają się więc na pisankach sputniki, globalki pokoju, rakiety, samoloty itp.

Wraz z tymi nowymi motywami pojawiły się i nowe techniki zdobienia jaj. Do najczęstszych należy malowanie barwnymi lakierami i farbami.

Nie tylko samo pisankarstwo jest jeszcze żywe na naszym terenie, ale

to samo można powiedzieć o niektórych zwyczajach z nim związanych. Do dziś więc we wschodniej części powiatów białostockiego i hajnowskiego chłopcy grają malowanymi fajkami w „żolobok” lub chodzą po „wołoczebnem”, tj. z życzeniami świątecznymi, dopominając się datków w naturze, które stają się potem podstawą wspólnej uczy.

Do niedawna zachowywano jeszcze i inne zwyczaje związane z pisankami, rzucano nimi mianowicie poprzez stodołę na pole i jeśli pisanka nie rozbija się, była to wróżba dobrego urodzaju. Niektóre kobiety jeszcze wierzą w szczególne moce pisanki i twierdzą, że stara wyszła pisanka, zaniesiona do kościoła i poświęcona, znowu stanie się świeża.

Pisankarstwo to nie tylko ciekawa i przyjemna tradycja ludowa, ale także dziedzina plastyki ludowej. Pisanki były niejednokrotnie ekspozowane na wystawach sztuki ludowej, a w 1961 roku doczekały się nawet osobnej wystawy. Była to pokonkursowa wystawa zorganizowana przez Wydział Kultury PWRN i WDK w Białymstoku.

Na konkursach i wystawach kilka pisankarek otrzymało nagrody, a nazwisko jednej z nich, Nadziei Zabiuk (Dorotkiewicz), widnieje w wielu katalogach i omówieniach. Jest to niewątpliwie najzdolniejsza pisankarka na terenie województwa białostockiego. Wykonane przez nią pisanki charakteryzują się wielką subtelnością wzorów i doskonałym precyzyjnym wykonaniem.

KONKURS małych form literackich

Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Lublinie ogłasza konkurs Małych Form Literackich dla czterech województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego.

1. W konkursie może wziąć udział każdy mieszkaniec województwa.
2. Każda z nadesłanych prac konkursowych dotychczas nie publikowanych (poezja, proza) nie powinna przekraczać trzech stron maszynopisu. Ilość nadesłanych prac jednego autora jest nieograniczona.
3. Tematyka dowolna.
4. Prace w maszynopisie, w trzech egzemplarzach, należy nadesłać w nieprzekraczalnym terminie do 29 kwietnia pod adresem Stowarzyszenia „PAX”, Lublin, Krak. Przedm. 68, z dopiskiem „Konkurs Małych Form Literackich”.
5. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną godłem i zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres.
6. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w drugiej połowie maja.
7. Za najlepsze prace zostaną przyznane nagrody:

- I. — 3000 zł
- II. — 2000 zł
- III. — 1000 zł

oraz nagroda specjalna w wysokości 800 zł za twórczość ludową.

2. Jury zastrzega sobie prawo nieprzyznawania I nagrody, lub innego podziału nagród.

KOLOROWE NIEPOROZUMIENIA

STANISŁAW ŚWIERAD

PAMIĘTAM, że nie tak dawno w namyślonych dyskusjach o kolorystyce elewacji nowych budynków padały mniej więcej tego rodzaju pytania: czy kolorystyka nie jest przejawem fasadowości? Barwy rzekomo burzą proporcje linii, brył geometrycznych, istotnych elementów współczesnej architektury. Później okazało się jednak, że wybrano nieodpowiednie podmioty dyskusji: brzydkie, nieudane, złe projekty kolorystyczne. Rzecz jasna, że również wysuwane wnioski przypominały średniowieczne sofistymaty.

Kolorystyka zwyciężyła. Białostoccy architekci na przestrzeni ostatnich kilku lat mogą naprawdę pochwalić się sporym dorobkiem. Wystarczy przejść się po osiedlach: „Marysi”, „Danusi”, „Centrum”, aby z przyjemnością stwierdzić, że poszczególne budynki otrzymały oryginalne, ładne, dobre elewacje zewnętrzne. Na niektórych po pewnym czasie kolory plowięją, lecz to już wina nie projektantów, ale tych, którzy produkują kiepskie farby.

Chyba najprzyjemniejsze elewacje otrzymały budynki w osiedlu Białostockiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Garbarskiej. Duża w tym zasługa architekta inż. Mariana Najmowicza, który jako jeden z pierwszych sięgnął po cegłę sylikatową. Kolorowa cegła sylikatowa pozwala uzyskać jak najbardziej naturalne barwy zharmonizowane z zielenią osiedla oraz sąsiadującym z osiedlem Parkiem Zwierzynieckim. Ciekawie wygląda również połączenie kolorowych elewacji i wykładziny z cegły sylikatowej w blokach przy ulicach Sienkiewicza i Marii Curie-Skłodowskiej.

Poprawa jest widoczna. To nie ulega żadnej wątpliwości. Kolorystyka elewacji coraz ciekawsza, ładniejsza — to zasługa przede wszystkim białostockich architektów. Kiedyś rozważano, czy projektów kolorystyki elewacji nie należy zlecać plastynom. „Każdy archi-

tekt musi być dobrym plastynomem” — odpowiadali zgodnie projektanci. Plastyści ustąpili. Uwagę swą skoncentrowali na projektach wnętrz. I należy znowu z przyjemnością stwierdzić, że w tej dziedzinie mają spory dorobek.

Czy jednak wszystko już zrobiono w celu podniesienia estetyki miasta? Oczywiście, że nie. Główny teraz kierunek ofensywy przeciwko brzydotcie to natarcie na nie zdobytą dotychczas twierdzę, którą stanowią zakłady przemysłowe. Tak, zakłady przemysłowe. Zarówno stare, pamiętające jeszcze czasy cara Mikołaja II, jak również nowe, wybudowane w minionym XX-leciu. Dyrekcje białostockich zakładów przemysłowych boją się, jak diabeł święconej wody, kolorów.

Przeglądam systematycznie biuletyny wydawane przez dyrekcje Pracowni Sztuk Plastycznych i dowiaduję się o współpracy, konkretnych umowach zawieranych pomiędzy plastynomami a zakładami przemysłowymi. Cóż, kiedy te informacje pochodzą z Warszawy, Katowic, Poznania, Wrocławia, Krakowa, Gdańska, O Białymstoku — głucho. Pod auspicjami wicepremiera Szyra odbyła się ogólnopolska narada w sprawie kolorystyki wnętrz fabrycznych. Podjęto na tej naradzie wiążące uchwały, które są realizowane, ale nie w Białymstoku.

Nie zamierzam uzasadniać, dlaczego kolorystyka musi wkroczyć do zakładów pracy. Na ten temat wypowiedzieli się autorytatywnie przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych oraz plastyni. Kolorowe budynki, maszyny i urządzenia nie tylko podnoszą estetykę poszczególnych zakładów przemysłowych, ale także wpływają na zwiększenie wydajności pracy oraz poprawiają bezpieczeństwo w pracy. Stwierdzono to dokładnie w wyniku przeprowadzonych w różnych krajach badań naukowych.

Chyba dobrze się więc stało, że ostatnio zainteresował się tą sprawą Kom-

itet Wojewódzkiej partii, który zorganizował wycieczkę przedstawicieli zakładów przemysłowych do Białostockich Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Fastach. Zakłady te przełamały już częściowo powszechną znowu milczenie na temat kolorystyki wnętrz fabrycznych. Być może teraz w ślady zakładów w Fastach pójda inne zakłady w Białymstoku oraz miastach powiatowych.

Czy białostoccy plastyni mogą podjąć się opracowania kolorystyki wnętrz fabrycznych? Wydaje się, że białostockie środowisko plastyni dysponuje takimi możliwościami. Najlepiej świadczy o tym projekty wnętrz sklepów, zakładów usługowych, placówek kulturalno-oświatowych. Plastyni otrzymali za te projekty wysokie oceny nie tylko od białostoczan, ale również od stołecznych recenzentów oraz kolegówpłastyni z innych ośrodków w kraju.

Potrzeba jednak więcej odwagi, inicjatywy ze strony dyrekcji białostockich zakładów przemysłowych. Jeśli zostanie spełniony ten zasadniczy warunek, sprawa kolorystyki wnętrz fabrycznych na pewno suszy z martwego punktu.

jest tak nieprawdopodobny, że nie dociera do oczu ludzkiego, nie sposób go pojąć. Człowiek patrzy na to z zadziwieniem i spójnym, objętym... Jak gdybyśmy oglądali plon namalowane przez artystę, przedmiot marowy... To z daleka. A na obecnienie z bliska — nie ma czasu! A na obecnienie...
Dramat autora „No more Hiroshima”, majora Eatherly'ego, lotnika znad Hirozimy, to dramat człowieka, który sam — choć mimowolnie — przyczynił się do powstania takiego straszliwego wyobrazu.

Claude Eatherly był tym, który w czasie nalotu na Hirozimę dał sygnał „go ahead” — naprzód. Nie był jedynym z ludzi, którzy przyłożyli rękę do zgotowania plonu Hirozimy, ale był pierwszym, który pojął grozę tego wydarzenia. Sprawa Hirozimy stała się dla Eatherly'ego wstrząsem, który wywarł na niego całe jego życie. Wbrew dawnyemu wirowaniu (podjętym przez K. Gruszczynskiego w jego „Kluczu do przeszłości”) Eatherly nie wstąpił do klasztoru. Bezpośrednio po wojnie, zdemobilizowany, nie próbował kontynuować normalnego życia, rodzinne zawołanie. Ale wizja ofiar Hirozimy nie dawała mu spokoju. Urzynał przy Bohaterstwie. Dopuszcza się w tym celu bezinteresownych czynów przestępstwa. Nie zostają one jednak zapomniane. Nie test, lecz tylko powodują zamknięcie Eatherly'ego w zakładzie dla umysłowo chorych. Kola wojenne, dymne z bomby atomowej, współdziałają z rodziną Eatherly'ego, na miesiarze i lata izolacja w szpitalu psychiatrycznym. Tragizm krag samotności uwieczniono przetrwa i lozof i moralista austriacki zydowskiego pochodzenia, Günther Anders, między człowiekiem, którego naród w czasie wojny stał się ofiarą najokrutniejszych przestępstw, a lotnikiem znad Hirozimy wywiązuje się korespondencja — wielki ludzki dokument naszych czasów. Anders widzi w Eatherlym jest list dziesięciu z Hirozimy, ofiar wybuchu atomowego. Pisali oni: „My, niżej podpisane dziewczęta z Hirozimy, przesyłamy Panu serdeczne pozdrowienia. My wszystkie miałyśmy to szczęście, że uniknęłyśmy śmierci, ale nasze twarze i ciała doznały obrażeń od wybuchu bomby atomowej zrzuconej w czasie ostatniej wojny na Hirozimę. Nasze twarze i ciała są zeszpecone bliznami i innymi śladami ran i pragnimy, aby okropność zwana „wojną” nie powtórzyła się nigdy więcej ani u nas, ani u nikogo, kto żyje na tym świecie. Dowiedzieliśmy się ostatnio, że od czasu wydarzenia w Hirozimy trapią Pana wyrzuty sumienia i że z tego powodu odesłano Pana do szpitala na leczenie umysłu i duszy.”

Wśród przekładów

DOKUMENTY XX WIEKU

ANNA TATARKIEWICZ

W JEDNYM z ostatnich numerów „Kamieny” Anna Kamienska nawoływała poezję do spojrzenia nowymi oczyma na współczesny świat z wszelkimi jego dramatycznymi problemami. Wydaje się, że apel taki można zwrócić nie tylko do poezji, ale w ogóle do całej literatury współczesnej, która stanęła jakby zagubiona na „zakręcie dziejów”, odrzuca przeszłość, a nie potrafi wyjrzeć ku przyszłości, przetrucie pomostu między tym, czym człowiek przestaje być, a tym, czym jeszcze nie jest. Dzieła literackie wyrażające niepokój i udręki epoki jak na razie znajdujemy przede wszystkim w przeszłości. O człowieku współczesnym więcej potrafi nam powiedzieć Sofokles, Szekspir, Dostojewski, a z bliższych w czasie klasyków — Kafka, Mann i Faulkner, niż legion pisarzy współczesnych, głośniejszych i mniej głośniejszych, niż ich utwory, stanowiąc często jedynodniową sensację dla wrażliwionych. Może to złudzenie perspektywiczne, może nie potrafimy dostrzec wielkości współczesnych, może ci „wielcy poeci, którzy przychodzą, gdy wielkich poetów nie ma” — są już wśród nas, ale „głusze się przyznać, że o sobie najmniej świadectwo naszych czasów znajdujemy w utworach paraliżujących albo w zapisach czysto dokumentalnych. Spośród książek, tłumaczonych na język polski w roku 1963 dwie pozycje wydają mi się bardziej ważne od całej tłumaczonej współczesnej literatury (nie mówię o klasykach): „Notatki z frontu” Effendi Kapijewa* oraz „No more Hiroshima**”) — autentyczna korespondencja lotnika znad Hirozimy, majora Eatherly'ego z filozofem austriackim, Güntherem Andersem.

Effendi Kapijew, przedwcześnie zmarły dagestański poeta i prozaik, w latach 1941—44, dłuższy czas przebywał na froncie jako korespondent wojenny. W tym czasie prowadził w notatniku zapiski, dotyczące wszystkiego, co widział i przeżywał. Wybor tych zapisków ukazał się u nas jako „Notatki z frontu”. Jest to lektura przetrzymująca — z wielu względów. W książce Kapijewa znajdujemy obraz wojny, portret człowieka i wizerunek pisarza. Te trzy warstwy nakładają się na siebie i przenikają wzajemnie, tworząc całość o wyjątkowej sile sugestywnej. Pisarza i człowieka charakteryzuje najlepiej epigraf jednego z notatników (Kapijew zapisał ich kilka). „Nawet jeden wiersz napisany dzisiaj uczciwie będzie cenniejszy i piękniejszy od wielu książek”. Notatki Kapijewa to żywe, gorące odpryski życia, chwytane naga ręką i utrwalone przez człowieka moralnie silnego, a zarazem wrażliwego i absolutnie szczerego wobec siebie i wobec tego, co widzi. W miłogawych ujęciach Kapijew ukazuje całą grozę wojny, przytaczając ogrom cierpienia i rozpacz, jakie z sobą niosła, ukazuje bunt człowieka przeciwko wojnie, tęsknotę za pokojem, za słoncem, za wiosną. Zarazem ukazuje bohaterstwo, na jakie człowiek potrafi się zdobyć w imię wolności, godności, w obronie tego, co kocha. Mówi o miłości, do jakiej człowiek jest zdolny, o różnych miłościach — do dziewczyny, do matki, do dziecka, do kwiatu. Widzi człowieka w jego słabości i w jego wielkości. Kapijew jest zaangażowany w ludzkie sprawy, ale nie deklaratywny, jest patriotą, ale nie jest szowinistą, bywa w swych reakcjach twardy, ale wdryga się przed okrucieństwem, nienawidzi hitlerzysm, ale w żołnierzach niemieckich dostrzega ludzi, utrwała — na zawsze — nieporadny a przejmujący wizerunek młodego żołnierza niemieckiego do matki. Wymowę książki podnosi fakt, że dla autora wojna nie zakończyła się uciążliwym pokojem — zmarł w styczniu 1944 roku wskutek choroby, która była dla niego dodatkową udręką lat wojny. Nie potrafiłabym wymienić drugiej współczesnej książki o wojnie, która wyrazem dorównałaby tym notatkami kreślonym przez poetę pod bezpośrednim dyktandem faktów.

W jednej ze swych notatek Kapijew pisał: „Myszę o tym, co jest najbardziej przerażające w tym milczącym polu, usianym trupami. Okazuje się, że nie! Widok

z głębokim przeczuciem i żebym Pana zapewnił, że nie czujemy do niego osobistej żadnej nienawiści. Może kazano Panu uczynić to, co Pan uczynił; albo może chciał Pan zakończyć wojnę i w ten sposób pomóc ludziom. Ale Pan wie, że amerykańscy kwakrzy opiekowali się nami z wielką serdecznością. Nauczyliśmy się miłości o Panu z sympatią, ponieważ sądzimy, że Pan jest taką samą ofiarą wojny, jak my. Pragniemy, aby Pan szybko wrócił do zupełnego zdrowia i przybył do tych, którzy walczą o dobrą sprawę — o zlikwidowanie barbarzyństwa zwanego „wojną” w duchu powszechnego braterstwa” — tu następuje trzydziści podpisów.

Gdy czytamy o losie Eatherly'ego, gdy czytamy list ofiar Hirozimy, gdy uświadamiamy sobie brzemie, które ciąży na naszej epoce, mimowolnie cisnie się pod pióro pytanie, które pisarstwo swoich czasów stawiał — i na które swa twórczością odpowiadał — Adam Mickiewicz:

„Czemu to o tym piśmi nie chcecie, panowie?”
A może słowo, literatura nie jest już w mocy udźwignąć całego ciężaru nieszczęść, grozy, wojny i odpowiedzialności — i nadziei? Ale w takim razie cóż po literaturze?...

* Effendi Kapijew: „Notatki z frontu”, wybrał i przełożył Ziemowit Fedecił, Czytelnik 1963, str. 262, cena 12 zł.
** „No more Hiroshima”, korespondencja lotnika znad Hirozimy Claude'a Eatherly'ego z Güntherem Andersem, przekład Wandy Jedlickiej, KIW, 1962, str. 160, cena 12 zł.

WIELKI PRZEGLĄD 1964

(Dokończenie ze str. 10)

rocznej przerwie reaktywowane zostaną rzeszowskie spotkania teatralne z udziałem scen Krakowa i sąsiednich województw (lubelskiego, kieleckiego), impreza ciesząca się ogromnym powodzeniem publiczności.

Bezpośrednio po teatrze wyliczyć należy rzeszowskich plastyni. To środowisko również zaczęło się kształtować w latach 1941—1945, by po okresie pewnego zastoju rozwijać się bardzo szybko od 1956 roku, kiedy to przybyła do Rzeszowa „grupa czarna”. Dzisiaj środowisko plastyczne słusznie zaliczane jest do najbardziej aktywnych, a jego rola i znaczenie z roku na rok wzrasta. Podejmuje ono z powodzeniem szeroko zakrojoną akcję upowszechniania plastyni: nie zaniebując własnej twórczości, pragnie czynnie uczestniczyć w kształtowaniu oblicza nowego społeczeństwa, pragnie mu służyć również w bardziej utilitarnej roli słowa znaczeniu, na co dzień. Dzięki ściślemu współdziałaniu pomiędzy władzami miasta i województwa a ZPAP Rzeszów otrzyma na swoje lipcowe święto piękny upominek w postaci ośrodka plastycznego w odbudowanej i specjalnie w tym celu adaptowanej zabytkowej bóżnicy. Otwarcie tego obiektu, zawierającego m. in. kilka sal wystawowych z prawdziwego zdarzenia, zostanie połączone z wielką ekspozycją, obrazującą dorobek plastyni z całego województwa, która wcześniej zaprezentowana zostanie w salach „Zachęty” w Warszawie.

Dorobek ten dokumentować będą również specjalne wydawnictwa: mam tu zwłaszcza na uwadze album „Rzeszów w grafice i rysunku”, w którym znajdują się prace nadesłane na konkurs pod tym samym tytułem. Był to jeden z najbardziej udanych konkursów spośród kilku ogłoszonych w ostatnich latach. Publikacje tego albumu, zapowiadaną przez MRN na kwiecień należy powitać z aplauzem.

Szczególnie uroczyście charakter będą

miały tegoroczne, organizowane już po raz trzeci „Dni muzyki kameralnej”, które odbędą się w Łańcucie w czasie od 11 do 17 maja. Impreza ta zaczyna się już liczyć nie tylko w krajowym życiu muzycznym, trudno się więc dziwić, że kierownictwo Państwowej Orkiestry Symfonicznej przykłada do niej tak dużą wagę.

Na mapie naszych placówek i organizacji kulturalnych szczególnie miejsce zajmuje Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Rzeszowie. „Eksplozja” czytelnictwa, jaką obserwujemy zwłaszcza na przestrzeni ostatnich lat jest w głównej mierze rezultatem pracy rzeszowskich bibliotekarzy — za równo tych z bibliotek publicznych, jak i pedagogicznych, związkowych, szkolnych. W maju bibliotekarze z województwa zjadą się do Przemysła, by dokonać oceny swej pracy w okresie minionych 20 lat, by zastanowić się nad polepszeniem różnorodnych form pracy z czytelnikiem. W czerwcu natomiast Biblioteka Wojewódzka nawiązując niejako do zwołanego przed paru laty zjazdu pisarzy pochodzących z Rzeszowszczyzny otworzy wystawę książek autorów rzeszowskich oraz książek o Rzeszowszczyźnie.

Nie brakuje w obchodach 20-lecia muzeów, które z wyjątkiem trzech powstały po roku 1944. Muzeum w Rzeszowie przygotowuje wystawę ukazującą bogactwo rzeszowskiej sztuki ludowej. Również jego staraniem ukazuje się pierwszy numer „Rocznika Muzealnego”.

Niepodobna przyczytać w wszystkich planów, które zamierzają zrealizować w obecnym roku nasze placówki kulturalne. Warto jednakże odnotować ciekawe inicjatywy podjęte przez kilka powiatów. Debica przygotowuje obszerną monografię powiatu, nakręci film dokumentalny o osiągnięciach gospodarki i kultury, zorganizuje sesję popularno-naukową poświęconą problematyce ruchu robotniczego. Z podobnymi zamierzeniami wystąpiły Gorlice, Lubaczów, Jasło, Sanok, Przemysł. Będzie to więc rok obfity w wydarzenia. Obok doraźnych skutków przyniesie wiele trwałych poczyniń, inicjatyw, faktów, wzbogacających dorobek 20 lat naszej wspólnej, socjalistycznej pracy.

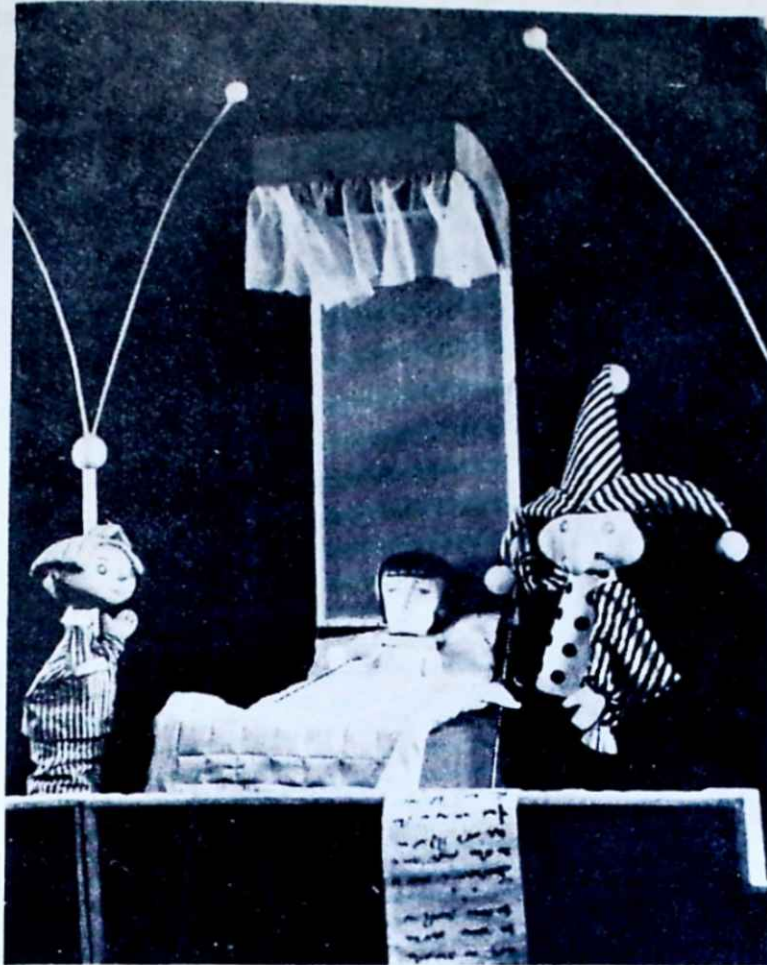
Zbigniew Wawszczak

NIEDŁUGO SPOTKANIA

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

KSIĄZKA Colodiego „Pinokio” znana jest chyba na wszystkich kontynentach świata.
I pewnie ta popularność wraz z walecznym tekstem skłoniła znanego lankarskiego Carla Schrödera do zaadaptowania jej na scenę. Daliśmy ciałem reakcji lankowej, prowadzącej do ukazania się „Pinokio” w Lublinie była podróż Schrödera, który obchlewał w tym czasie (w niemieckiej inscenizacji) udział dwie osoby), drewnianym palczykiem i innymi rekwizytami kawał światła przyjechał do Polski. Tu „Pinokio” został przetłumaczony na polski przez J.

(Dokończenie na str. 13)



(Dokończenie ze str. 12)

Lewińskiego i po raz pierwszy zagrany przez dwuosobową i tym razem małżeńską filię poznańskiego teatru „Marcinek” w Gorzowie Wielkopolskim. Rzecz się następnie odleżała, aby pojawić się w Lublinie.

Te dzieje sławy dotyczą sztuczki krótkiej i skromnej (dwa akty, mała obsada), w której jednak coś musi tkwić, skoro jej inscenizacje cieszą się powodzeniem wśród publiczności i są interesujące artystycznie. Może przyczyną tego jest nieopatologiczny moralizm, dramatyzm widoczny w skrocie i przebiegu akcji oraz humor.

Inszeniacja i reżyseria Stanisława Ochmianskiego nastawiona jest przede wszystkim na wydobycie tej ostatniej wartości. Udaje się to dzięki umiejętnej kombinacji momentami groteski i podniesieniu umowności. Jako zasady konstruowania rzeczywistości teatralnej. Umowność jest akcentowana poprzez łamanie konwencji „czwarnej sciany”, która zwykle oddziela scenę od widowni, i uświadomianą „przecież jesteśmy w teatrze” oraz przez odsłanianie części, tajemnic zakulisowych, jak tworzenie na scenie kukielki i pokazywanie jej widowni wraz z mechanizmem. Przy przyjęciu takiej koncepcji brakowało właściwego zakończenia — ukazania zespołu aktorów wraz z publiką publiczności. Znane są niechcący lalkarzy do takiego ukazywania się, lecz czasami muszą zostać przełamane.

Reżyser Ochmianski pokazał bardzo pomysłowe i dowcipne rozwiązanie epizodu, np. biała plachta, usytuowana pionowo, w którą ktoś uderza od strony kulis, przy pomocy światła zaczyna się kołować z falowaniem morza — przykładowy sposób konstruowania metafory teatralnej.

Znaczący wpływ pobytu dyrektora w ZSRR — triki techniczne dalece na oczach widza rosły nos i uszy). Przedstawienie dużo zawiązało w oprawie scenicznej i lalkom Jerzego Koleckiego, młodego scenografa z Rabki, prowadzącego teatrzyk dla dzieci w sanatoryjach. Wyraźnie się zaznacza zmiana miejsca akcji. Syntetyczna deformacja tych dekoracji jest wznowiana na specyficznych cechach rysunków dziecięcych. Z lalkę wyróżnia słońce Pinokio i Swiersz.

Debiut kompozytorski Lublinianina Janusza Pilarzkiego wypadł obiecująco, przede wszystkim w melodii i piosence. Pokazuje tu nuanisów na scenie było możliwe dzięki dobrej obsadzie. Zwraca uwagę technika lalki i dobrze ustawiony głos Aliny Stępnik, lalki której Pinokio jest tak zabawny. Rzadko aktor-lalkarz jest tak naturalny i dobrze wleciał się w postać grana przez siebie w żywym planie. Jak Andrzej Rozhlin — Mistrz Wiorko i Dyrektor teatru, gwiazdą też lalki Lisa i Szykierza. Lilianna Ochmianska operowała też lalkę, z których wyróżniłbym Swiersza i Kucyka.

Sukces „Pinokio” w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora jest dowodem dużych ambicjach realizatorów, którzy potrafili zrobić z na pozór niespektakularnej sztuki dobry teatr.

Następna premiera po „Pinokiu” była oparta na włoskiej dramaturgii, tym razem na Gozzim. Sławny motyw trzech pomarańczy, którym m. in. posłużył się Sergiusz Prokofiew pisząc swój balet, zaadaptował dla teatru lalki też Sergiusz — Michalkow.

W Związku Radzieckim, jak twierdził dyr. Ochmianski, „Trzy pomarańcze” Michalkowa trwała zgodnie z tamtejszym zwyczajem cztery godziny, nasi adaptatorzy skrócili widowski prawie o połowę. Taka kondensacja odbiła się na wartości sztuki. „Trzy pomarańcze” w polskiej adaptacji nie są dziełem jednolitym, odnosi się wrażenie jakby poszczególne partie były pisane dla różnych odbiorców. Nie brak tu elementów, które, ulegając modzie słowa a nty, można by

nazwać antybańlowymi. Główny bohater, Andrzejek, przebijając w bańlowym świecie jest o krok od stwierdzenia, że czary i baśnie stworzyli sami ludzie. Ten początkowy nurt sztuki, wzmożony kompozycyjnie ukazaniem hasni jako snu, nie znalazł niestety (dla młodzieży i starszych) rozwinięcia, dalej rzecz się potoczyła jak w prawdziwej baśni, z czego się młodsze dzieci niewątpliwie ucieszyły. Nurt antybańlowy zostałby podtrzymany wtedy, gdyby reżyser Krzysztof Niesiolowski potraktował rzecz nieco bardziej z przybliżeniem oka, jak forsowanie przeszkód na drodze do zezarowanych pomarańczy.

Czarne typy Brigiello i Klaryssa zostały przedstawione zbyt serio, to znalazło wyraz w lalkach Ireny Pikiel. Poza tym wypełnienie przestrzeni scenicznej miało w sobie dowiec pływający z umowności, szczerem były dekoracje do wspomnianego już epizodu przed tajemniczym ogrodem.

„Trzy pomarańcze” są jednym z przykładów bardzo ciekawego procesu odbijającego się obecnie, jest nim przekształcanie gatunków baśni i bajki. Dla dramaturgów i inscenizatorów lalkarzy dość jednolite schematy wywodzące się z ludowej fantazji okazały się za ciasne. Protest prowadzi do zanegowania konwencji, wytworzyła się quasi, lub w krancowych wypadkach — antybajki czy antybaśnie. Moce nadprzyrodzone, zgodnie z tendencją wieku, demaskowane są coraz bardziej, czarownice stają się dobroliwymi i tracąc swoją moc zdradzają ludzką naturę. Tak się dzieje w „Pinokiu” i w „Trzech pomarańczach”.

Zespół naszego teatru lalkowego wprowadza do każdego przedstawienia coraz więcej elementów baletowych. Osobliwy to efekt, kiedy materia nieoczekiwana, traci kanciastość ruchów, a raczej mimo to zostaje zsynchronizowana z muzyką.

Krzysztofowi Niesiolowskiemu należą się pochwały za inscenizację nie tylko taniec, ale i turnieje rycerskie, który również był stylizowany na balet. „Trzy pomarańcze” otrzymały najhigalszą, z dotychczasowych przedstawień, oprawę muzyczną. Twórcą jej był sławny kompozytor Tadeusz Szeliński. Wbrew pozorom nie jest łatwo stworzyć muzykę dla teatru, która by wzięła na siebie część wyrazu artystycznego. W muzyce do baśni Michalkowa czuje się świetny warsztat twórcy oper „Lijnt żaków”, „Krakutak” i muzyki baletowej. W „Trzech pomarańczach” muzyka pełni wszystkie trzy funkcje wyliczone przez Rzeszowskiego: towarzyszy akcji budując nastrój, porządkuje elementy teatralne, jak gest i ruch, oraz wyraża to, co nie jest powiedziane czy pokazane, np. moment zapadania się Andrzejka w sen.

W percepcji przedstawienia czasami przeszkadza sposób akcentowania i kobiecy głos Reginy Żaluskiej, którym obdarzyła postać Andrzejka. Należy też wskazać skróty, ucięcia, księżniczka Klaryssa, jej sytuacja na dworze królewskim nie jest właściwie wyjaśniona.

Być może „Trzy pomarańcze” zostaną pokazane na Drugim Spotkaniu Teatrów Lalkowych Polski Wschodniej, które odbędzie się 24-27 kwietnia w Lublinie. Spotkanie to typu. Dlatego zostanie uruchomiony potężny aparat reklamowy. Prócz tradycyjnych plasz, specjalny stempel pocztowy, znaczek dla uczestników imprezy, etykiety na zapalkach z bohaterami sztuk lalkowych (wazaki, strażnicy pożarni), goście z zagranicy, na Zamku wystawa lalki i plaktów z całej Polski.

Zostaną przyznane nagrody złotej i srebrnej Koziołki dla najlepszej roli i najlepszego epizodu, decydując będzie publiczność biorąca udział w plebiscytcie. Jeden z dni będzie poświęcony obchodom dwudziestolecia lalkarstwa polskiego, w dniu tym wystąpi najstarszy teatr lalkowy w Polsce, warszawska Lalka. Prócz przedstawień będą kontynuowane dyskusje o widzu w teatrze lalki.

Krzysztof Głogowski

Olsniwanie skrajnościami

Działanie poprzez skrajności jest ulubioną metodą narodowego olsniwania. Wąsaty szlachcic zaprosił gości, rzucił swój majątek na szalę jednej uczty, choć mu wieciecie z butow wylazły, i styl ten, uwzględniając zmiany scenarii epok, pozostał do dziś.

Skala olsniwania skrajnościami obejmuje wszystkie dziedziny naszego życia. Na przykład kinematografia. Wyprodukowaliśmy arcydzieła, zyskując nawet miano twórców własnej oryginalnej szkoły, ale w gruncie rzeczy cóż proponujemy widzowi? Albo wzruszenia na miarę „Matki Joanny”, albo obrzydzenie na widok różniących „Yeti”. To sarmackie albo-albo zakłada, że nie mamy prawa do umiarkowanych przeżyć filmowych, których potrzebę świetnie rozumie na przykład film czechosłowacki, dostarczający widzom obrazów bez rozszedeł do złotych palm, ale i spokojnych o krytykę.

Wróciłem z Lipska. Rola, jaką Polacy odegrali na targach jest również swoistym przykładem metody skrajności. A więc trzy złote medale za eksponaty! To bardzo dużo, zwyczajnie, że tyleż uzyskały wyroby radzieckie, zaś Czesi zadowolili się skromnie jednym medalem. Uczono, że polski pawilon należał do najciekawszych pod względem koncepcji ideowej, jak też był najbardziej interesujący dzięki jasnej, czytelnej oprawie plastycznej. Prawdziwie uderzeniową dawkę stanowiły nowości techniczne na najwyższym poziomie światowym. Pokazaliśmy aż sześć laserów reprezentujących trzy różne rozwiązania techniczne. Związek Radziecki wystawił tylko jeden laser. Dziesiątki ciekawych gromadziły się przy stoliku z polską frezarką-kopiarką, która sama, nie dotykając modelu, kopiuje go, przy czym człowiek odgrywa jedynie rolę widza. Podobno tylko Amerykanie posiadają dziś urządzenie tej klasy. Albo rewelacyjna szafka, która znalazła się na mostku kapitańskim, gdy tylko w jakimś pomieszczeniu statku pojawił się najmniejszy dymek, zwiastując pożar — rozdzwania się wściekle, wskazując bezbłędnie źródło ognia. Takich dokładnych aparatów nikt nie ma na świecie, choć sama idea działania jest znana także poza Polską. To jest właśnie jeden z krańców naszej metody. Przewijamy, wysoko wznosząc — jak to się mówi — sztafard postępu technicznego. A tymczasem...

Tymczasem na placu przed naszym pawilonem stały sobie rumałki naszej motoryzacji w postaci „Nysy”, „Zuka” i „Stara 25”. Szaro-brudno malowane, jakoś wymęczone, jakby w walcach gumach przemierzyły trasę do Lipska. Obsługa polskiego pawilonu sarkanała na te eksponaty, ale mimo wszystko decydowała się je wystawić. Zresztą ten drugi biegun skrajności przeżył i w innych miejscach pawilonu. A to lakier brzydki, nierówno położony, a to powietrze chropowate. U Czechów złotych medali mniej, ale wszystko bliżej się i wabi wypolerowanymi płaszczyznami.

Zatem wyciągajmy wiechcie z butów, zmniejszajmy rozpiętość! Wytęcajcie szare komórki nad zdumiewającymi wynalazkami, uczmy się ruszać pędziem na co dzień. Ku pokrzepieniu serc możemy zameldować, że w pewnych dziedzinach skrajności uległy już zeszlifowaniu. Małe są one na przykład między słynnym polskim plakatem a grafiką na co dzień — czyli wszelkimi etykietami i opakowaniami, które stale ulegają poprawie. Zmniejszyła się rozpiętość między „Modą Polską” a modą polską, co oznacza, że samotne niegdyś wzorce zostały w końcu powielone i poszły na półki sklepowe.

Złuczmy sobie powodzenia!

Jędrzej

PIERWSI W AGRIGENTO

PIEKNYM sukcesem zakończył się udział Zespołu Pieśni i Tańca Rzeszowskiego WDK w XI Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym 7. II-10. II. 1961 r., organizowanym co roku z okazji „Święta kwitnienia migdałów” w Agrigento na Sycylii. 17-osobowy zespół Rzeszowski (6 par tanecznych, 5-osobowa kapela), występujący wraz z trzynastoma zespołami z dziesięciu państw zdobył pierwszą nagrodę, wyprzedzając Jugosławię (drugie miejsce) oraz Hiszpanię i Francję (trzęcie miejsce). Rzeszowianie powtórzyli więc sukces lubelskiego zespołu „Ziemi Lubelskiej” który przed paru laty uplasował się w Agrigento również na pierwszym miejscu wraz z zespołem węgierskim „Budapeszt”. Sukces zespołu z Rzeszowa jest tym większy, że był to jego pierwszy udział w międzynarodowym festiwalu. Rzeszowianie oczarowali Włochów pięknym i bogactwem polskiego folkloru, który zaprezentowali w możliwie szerokim przekroju. W ich półtoragodzinnym „włoskim” programie znalazły się formy obrzędowe („dyngus” i „marzanna”), regionalne (pięśni i tańce rzeszowskiej i narodowe (krakowiak, oberek, mazur, chodzony).

Rzecz charakterystyczna: najbardziej podobali się, największą furorę zrobili tancer obrzędowe, a zwłaszcza „marzanna”. Na koncercie galowym u stóp starożytnych greckiej świątyni jedna z dziewcząt tańczących w „marzannie”, nie zrobiła pełnego obrotu i woda z plastycznego waderka, przeznaczoną dla słomianej kukły, chlapięła na pierwsze rzędy publiczności. Choreograf zespołu, Bożena Nizanska, opowiada, że w pierwszej chwili zamarła z przerażenia. Bo publiczność włoska jest żywiołowa, gwałtownie wyrażająca swe uczucia. Frenetyczne brawa, nagroda za mimowolną pomyłkę, rozproszyła jej obawę.

Na festiwalu, który ma już bogatą tradycję i odbywa się w sycylijskim mieście, pięknie przystrojonym galeziami wystąpił trzykrotnie — zespół rzeszowski kwitnący innymi fragmentami programu. Czwarły występ miał już nirofajalny charakter: członkowie zespołu wzięli udział w tradycyjnym, niesłychanie barwnym korowodzie karnawałowym w Messynie.

Występy zespołu z Rzeszowa wzbudziły duże zainteresowanie włoskiej prasy i telewizji. W czasie pobytu na ziemi włoskiej nawiązano bliskie kontakty z reprezentantami Jugosławii z Zagrzebia. Sympatycy Jugosławianie zaprosili zespół rzeszowski do Zagrzebia. Wizyta miałyby nastąpić w lipcu br.

Lećcie swej działalności, które przypada w br., uczył wiec znany i popularny w Rzeszowie zespół WDK wspaniałym osiągnięciem. Jego członkowie wrócili do miasta nad Wisłokiem pełni wdzięku i dałkiej, bardzo ciekawej podróży, wykonując pierwszą nagrodę w postaci przyznanej ze złota miniaturki greckiej świątyni.

(W)

List do redakcji

W 3 numerze „Kamień” z rb. Franciszek Kotula ogłosił list dotyczący mojego artykułu drukowanego także w „Kamieniu” w lipcu ubiegłego roku.

Pan Kotula zarzuca mi plagiat twierdząc, że artykuł „O chłopkim pisarstwie Rzeszowszczyzny” opisałem z pracy Stanisława Czernika: „Chłopskie pisarstwo samorodne”. Wyciąga stąd wniosek, że metoda mojej pracy „entograficzna” jest wadliwej jakości. Stan faktyczny wygląda następująco:

Przedstawiciel redakcji „Kamień” zamówił u mnie nie badawczą pracę naukową, lecz szkie informacyjny o popularnym charakterze, na temat ludowej literatury Rzeszowszczyzny. Chodziło w nim o ukazanie tradycji chłopkiej twórczości literackiej i nawiązanie do pisarzy-chłopów współczesnych. Ponieważ nie jestem etnografem to czym doskonale Pan Kotula wie, lecz polonistą, zająłem się piarszami znanymi historikom literatury: o dość dużym dorobku publikowanym w czasopiśmie i książkach. Pisarzy tych nie wymyślił Stanisław Czernik, ani ich nie odkrył — pskali o nich prof. Pigoń, Karol Kontński, Antoni Olcha, Józef Kapuciński i inni. Rzecz prosta, korzystając z prac wszystkich wyżej wspomnianych

nych autorów — także i z książki Stanisława Czernika, Pan Kotula ma mi za złe, że powtarzam te same nazwiska oprócz dwóch nowych (których u Czernika nie było). Zapomniał zauważyć, że prawie pół artykułu poświęciłem tym dwóm autorom współczesnym. Czyżby Sądził, że powinienem wyznać czy stworzyć nowe nazwiska, nowe fakty literackie? Czyżby sądził, że powinienem wymyślić inne biografie lub też krancowo różnić się od Czernika w ocenie twórczości wspomnianych autorów?

Pan Kotula żąda, bym przedłożył wszelkie terminowe studia i gruntowną penetrację, wnoszę w poszukiwaniu nowych pisarzy. To chyba rola etnografów, folklorystów. Czyżby autor listu, człowiek z tytułem doktora, nie odróżniał pojęcia pisarstwa chłopkiego od pojęcia folkloru? Czyba nie odróżnia — świadczy o tym jego artykuł w „Życiu Literackim” z 23. II. br.

Autor listu jest oburzony, że nie podałem źródeł, z których korzystałem przy pisaniu mojego artykułu. Może go zapewnić, że literaturę przedmiotu zażyczyłem do skrypty, lecz usonałem ten zestaw w ostatniej chwili idąc za radą jednego z redaktorów pisma. Tak wygląda rzeczywistość. Ocenę tonu i charakteru listu p. Kotuli zostawiam czytelnikom.

Jan Grygiel

PRZEGLĄD PRASY

„Kultura” opublikowała trzy wyowiedzi najmłodszych pisarzy dając im wspólny mianownik: W poszukiwaniu biografii. Z. Jerzyna, Krzysztof Mętrak i Jerzy Z. Górzński wychodzą naprzeciw wspomnianym zarzutom i próbują zarysować wygląd swych dwudziestoparoletnich biografii. Wyowiedzi ich sprawiają wrażenie, jakby ugięli się cni i uwierzyli w nikłość swego życiowego doświadczenia, jakby się tego wstydzili. Dla tego akcentują tak wielką wagę książki i lektury w kształtowaniu swej biografii. Pisze Jerzyna: „A lektury może w większym stopniu od innych czynników wpłynęły na nasz rozwój jako ludzi i jako pisarzy”. Jeszcze dalej idzie Mętrak (najmłodszy z nich, urodzony już po wojnie): „Możę... odpowiedzieć tylko za siebie: znakami przystankowymi mojej biografii są książki, doświadczenie literackie traktuje niemal jako najważniejsze doświadczenie życiowe”.

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

W POŁOWIE MARCA bawili w Lublinie na zaproszenie władz studenckich przedstawiciele województwa rzeszowskiego. Było to kolejne spotkanie w ramach współpracy lubelskiej Rady Okręgowej ZSP z województwami białostockim, kieleckim i rzeszowskim.

W KLUBIE „NORA” odbyło się spotkanie przedstawicieli lubelskiego świata kulturalnego z twórcami filmu „Skapani w ogniu”. W spotkaniu uczestniczył reżyser filmu Jerzy Passendorfer, scenarzysta i znany pisarz Wojciech Zukrowski, oraz aktor jednej z głównych ról, lubelski aktor Stanisław Mikulski.

W DNIE 11 MARCA odbyła się w Domu Technika w Lublinie inauguracja II etapu V Konkursu Filmów Turystycznych, organizowanego przez Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej WKFiT oraz Zarząd Okręgu PTTK.

SCENA MALYCH RZECZYWISTOŚCI — eksperymentalna scena Teatru im. Osterwy — po wielomiesięcznej przerwie wznowiła działalność. Jako pierwsza premiera po przerwie: „Zabawa” Sławomira Mrożka.

BIAŁYSTOK

W BIAŁYMSTOKU GOŚCILIŚMY OSTATNIO kustosa Biblioteki Naukowej UMCS mgr Artura Iskrzyckiego. Zbił na materiały dotyczące początków działalności placówek kulturalnych i oświatowych na terenie naszego województwa w minionym 20-leciu. Materiały te w późniejszym czasie znajdą się na wystawie dokumentalnej.

ZAPOCZĄTKOWANA PRZED KILKOMI LATY współpraca Białostockiego Towarzystwa Naukowego, z Instytutem Slawistycznym przy uniwersytecie w szwedzkim Lundzie rozwija się nadszpiewanie pomysłów. Ostatnio podpisano umowę o dalszej współpracy kulturalno-naukowej pomiędzy tymi instytucjami. Fakt ten warto podkreślić jako konkretną realizację kontaktów polsko-skandynawskich.

RZESZÓW

WYDZIAŁ KULTURY PWRN zorganizował naradę przedstawicieli towarzystw naukowych działających na Rzeszowszczyźnie, z udziałem przedstawiciela krakowskiego oddziału PAN, profesorem dr Zenonem Klemensiewiczem.

Z OKAZJI 20-LECIA PRL Związek Młodzieży Węskiej zorganizował olimpiadę czytelnictwa w celu upowszechnienia literatury pięknej.

PAŃSTWOWY TEATR IM. WANDY SIEMASZKOWEJ wystawił sztukę Anny Swirszczynskiej pt. „Strzały na ulicy Długiej” w reżyserii Ireneusza Erwana. Scenografię przygotowała Wanda Fik, muzykę opracował Janusz Ambros.

W GORLICACH ODBYŁA SIĘ niedawno premiera sztuki Szekspira „Ryszard III”, wystawionej przez Teatr im. W. Sienkowskiej w reżyserii Stefana Wintera. Scenografią Ireneusza Erwana.

PAŃSTWOWA ORKIESTRA SYMFONICZNA w Rzeszowie, Chór oraz solistki Opery Łódzkiej występują na terenie województwa rzeszowskiego z „Rycerskością wieśniaczą” Piotra Mascagniego w wykonaniu estradowym.

Unia

Starsze pokolenie oświadczyło przeżywało wojnę, młode pokolenie może ją przeżyć tylko w wyobraźni lub ustosunkować się do niej intelektualnie. Ciekawe, że właśnie stosunek do wojny ostatniej chce pokolenie najmłodsze uczynić wyróżnikiem odrębnego miejsca w społeczeństwie i w sztuce. Dał temu wyraz najpełniej Jerzyna. Warto parę fragmentów zacytować, ponieważ mają one wartość nie tylko osobistej deklaracji:

„Wydaje się, że do tej pory nie będziemy zdolni do bezinteresownego, jasnego spojrzenia na ludzi budujących ten kraj, dopóki ostatecznie nie zbadamy tego najgłębszego, najciemniejszego w człowieku śladu wojny, dopóki poprzez rozstrzygnięcia nie oczyścimy naszej pamięci z tych wszystkich okropności, które od naszych rodziców otrzymaliśmy w spadku”.

Pokolenie które przeżywało wojnę może dać tylko jej opis, jej konsekwencji nie da się załatwić tylko w obrębie jednego pokolenia. Świadkowie zostawili pamięć, która zrodziła w młodej sztuce wszystkie niepokoje. Nie należy tych uzasadnień lekceważyć. Pokolenie to w lekturze ma „Doktora Faustusa” Manna, ale zna i „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego i jej wpływ, jak świadczy Jerzyna, jest niezatarty i może prowadzić ku intelektualnemu zwrotowi do najpiękniejszych kart sztuki rewolucyjnej.

Od pewnego czasu, szczególnie w środowisku młodych pisarzy, w ich twórczości i opiniach młodej krytyki, obserwuje się zainteresowanie pewnymi nurtami „Młodej Polski”. Bodaj pierwszy zwrócił na to zjawisko uwagę K. Wyka, który właśnie w Lublinie mówił parę lat temu o „zmarłych wstaniu Młodej Polski”, a niedawno w wywiadzie dla „Kamery” twórczość jednego z młodych prozaików nazwał „Przybyszewskim na raty”. Ostatnio w „Polityce” K. Koźniewski stawia to samo pytanie: „Znów peleryny?” Okazję do tego dało wydanie „Neoromanizmu polskiego” J. Krzyżanowskiego. Zdaniem autora, wydanie tej książki trafia w centrum zainteresowań tymi właśnie sprawami. Widać bowiem autentyczne zainteresowanie literaturą Młodej Polski, jej sztuką plastyczną, nawet sztuką użytkową o wyraźnym secesyjnym obliczu. Renesans takich właśnie upodobań nie ma zresztą charakteru rodzimego, odpowiadają mu podobne tendencje zagraniczne.

Koźniewski próbuje wskazać na powody tego stanu rzeczy. Widzi je w zaobserwowanej powszechnie u pokolenia dojrzewającego po ostatniej wojnie skłonności do tych gatunków sztuki, których odbiór wymaga mniej operacji rozumowych, więcej przeżywania, więcej wagi gust niż wiedza.

T. K.

Nie chodź, dziecko, do „Piwnicy”

— tam drzwi zamykają, gaszą światło, a potem wszyscy się rozbierają! — ostrzegala babunia jedną z moich koleżanek. Było to w czasach, kiedy dziewczyna lat osiemnaście dopiero sobie liczyła, a gniazdo rozpusty, „Piwnica studencka” na Starym Mieście, niedawno otwarła podwoje — ściśle: w kwietniu 1957 roku.

W sąsiedztwie Trybunału i ojców dominikanów zagnieździł się wąskospodniowcy. W podziemnym ich siedlisku przy blasku świec stearynowych, obrazoburzył kabaret pod wiano obiecującą nazwą SEX — założony przez naszych egzystencjalistów — z gwóźdźmiem programu: strip-teasem.

Nic dziwnego, Lublin zatrzęsł się od plotek. A jeszcze w dodatku jeden z Brandysów napisał w „Nowej Kulturze”, że kabaret nie ustępuje poziomem krakowskim „Baranom”, co było dużą przesadą, ale tylko potęgowało zgrozę wśród obywateli.

Prawdę mówiąc SEX nazywał się SEX, bo akurat nie oryginalniejszego nie przyszło do głowy jego twórcom,

Teatr im. J. Osterwy w Lublinie

gra „Szachy” i „Partię na instrument dęciowy” Stanisława Grochowiaka w reżyserii Bohdana Poręby



Alfreda Surmańska w roli Hrabiny w „Szachach”, Andrzej Gozddecki jako Hrabia. Recenzja (M. Bechcysz-Rudnickiej) ukazała się w numerze „Kamery” z 15 marca.

a „strip-tease” (ale w granicach przyzwoitości) robił niżej podpisany, co nie tyle wywoływało erotyczną atmosferę na sali, ile raczej wybuchy zdrowej radości wśród widzów. W „niemoralnym” programie Goleczyński szedł o lepsze z Harasymowiczem. Bywał i Miron Białoszewski oraz „Ferdynand”. Żeby wejść do „Piwnicy”, trzeba było posiadać kartę wstępu wydaną przez władze studenckie. A jak sobie ktoś za bardzo podpiał, podchodził do stolika wykładowca Hubert z szóstego roku weterynarii i mówił: „Nno!” I zaraz było po wszystkim.

A po dwóch latach egzystencji „Piwnica” splajtowała. Jako klub-kawiarnia bez żadnych dotacji z zewnątrz, nie mogła sama na siebie zarobić. Zdarza się? Zdarza. Jednak znowu powstał w mieście huczek, że proszę: „porwali się z motyką na słońce, przepijali stypendia i co? samo życie dowiodło, że studenci są po to, żeby nad książką, a nie po knajpach zdiebać”.

I studenci spokornieli, „Piwnicę” oddali (bo niby co w tej sytuacji mieli zrobić?) Spółdzielni Inwalidów (sic!) i tak to się wszystko skończyło. To znaczy lokal pozostał, ale szedł szybko do poziomu nieciekawej kawiarni - knajpki, w której się pije butelka po butelce „berbeluchę”, czyli różne „Czary Nałęczowa”, po dwadzieścia parę złotych za pół litra. Ale taki stan rzeczy już mniej obchodzi opinię publiczną. Ostatecznie tym razem sytuacja jest dość normalna, tego rodzaju lokali jest w Lublinie więcej, więc nie nowego i nie ma o co kruszyć kopii.

A szkoda. Tym większa, że w przypadku „Piwnicy” poszedł na marne entuzjazm, duży wysilek, no i tak zwana praca społeczna wielu ludzi, którzy swego czasu czegoś chcieli i... postawili na swoim. Wyremontowali i zagospodarowali własnym trudem, prawie z niczego zrujnowany, zapomniany lokal, z którym władze miejskie właściwie nie bardzo wiedziały co począć. Kiedy w 1957 roku, przy ogromnym zainteresowaniu środowiska studenckiego, wyprosił student od Miejskiej Rady Narodowej obecną kawiarenkę, były to tylko trzy położone nad sobą zatechle piwniczki, o przybłądle już legendzie — istniała

tutaj kiedyś staromiejska winiarnia. Po kilku miesiącach lokal był już odremontowany, zelektryfikowany, założono wentylację, wstawiono piecyki. Szeroką osobę harowało codziennie bez żadnej zapłaty przy wynoszeniu gruzu, niedawno powstała grupa plastyczna „Zamek” zaprojektowała wnętrza i przez kilka dni w pocie czoła i oparach rozpuszczalnika nitro zamalowywała ściany. I taszczyłem się na nich znalazł i abstrakcja geometryczna i surrealizm nawet.

W tym samym czasie inni wymyślili w gastronomii stare, niepotrzebne urządzenie bufetowe, zorganizowali we wszystkich rektoratach piwnicze na wyposażenie, załatwiali w Wydziale Finansowym ulgi podatkowe. I było huczne otwarcie z udziałem władz wszystkich uczelni, zwinem i z tortem czekoladowym...

No, ale „Piwnica” zmieniła właściciela i co za tym, zmienił się jej charakter. Niedawno tam zaszedłem. Ściany brudne, pomazane w pikasy, jakieś zasłonki w przejściach kretonowe obrzydliwe, wentylacja nie działa, po elektrycznych piecykach ani śladu. Więc zimno w „Piwnicy” i dlatego okolica staromiejska publiczność się dzi przy „nowoczesnych” stolikach w paltach, z podniesionymi kołnierkami. Zapytałem personel o byłalców — nawet nie narzekał: awantur większych nie ma, spokój. Nie wiem, może personel jest nowy, bo kiedy w ubiegłym roku wstąpiłem przypadkowo do kawiarni i chciałem zejść na najniższą kondygnację, pogończył z mną okrzyk kelnerki: — „Gdzieeee?” Po chwili otrzymałem wyjaśnienie: „Dół nieczynny. Wpierw wypuszczaliśmy i na dół, ale nie można było sobie dać rady z gośćmi, a jeszcze jak to się zdarzyło raz i drugi...”

Znaczy, co? — zapytałem — A niech się Pan sam domyśli — powiedziała kelnerka i poszła sobie. Więc może teraz personel inny i wszystko w porządku, i „na dół” wypuszczają, ale szkoda, że nie ma nadziei, żeby „Piwnica” stała się kiedyś znowu zamkniętym klubem, może Związku Plastyków, może ZMS, — zresztą licho wie czym — którym by się Lublin znowu zgorzzył.

Dereń